

rodzina

TYGODNIK KATOLICKI

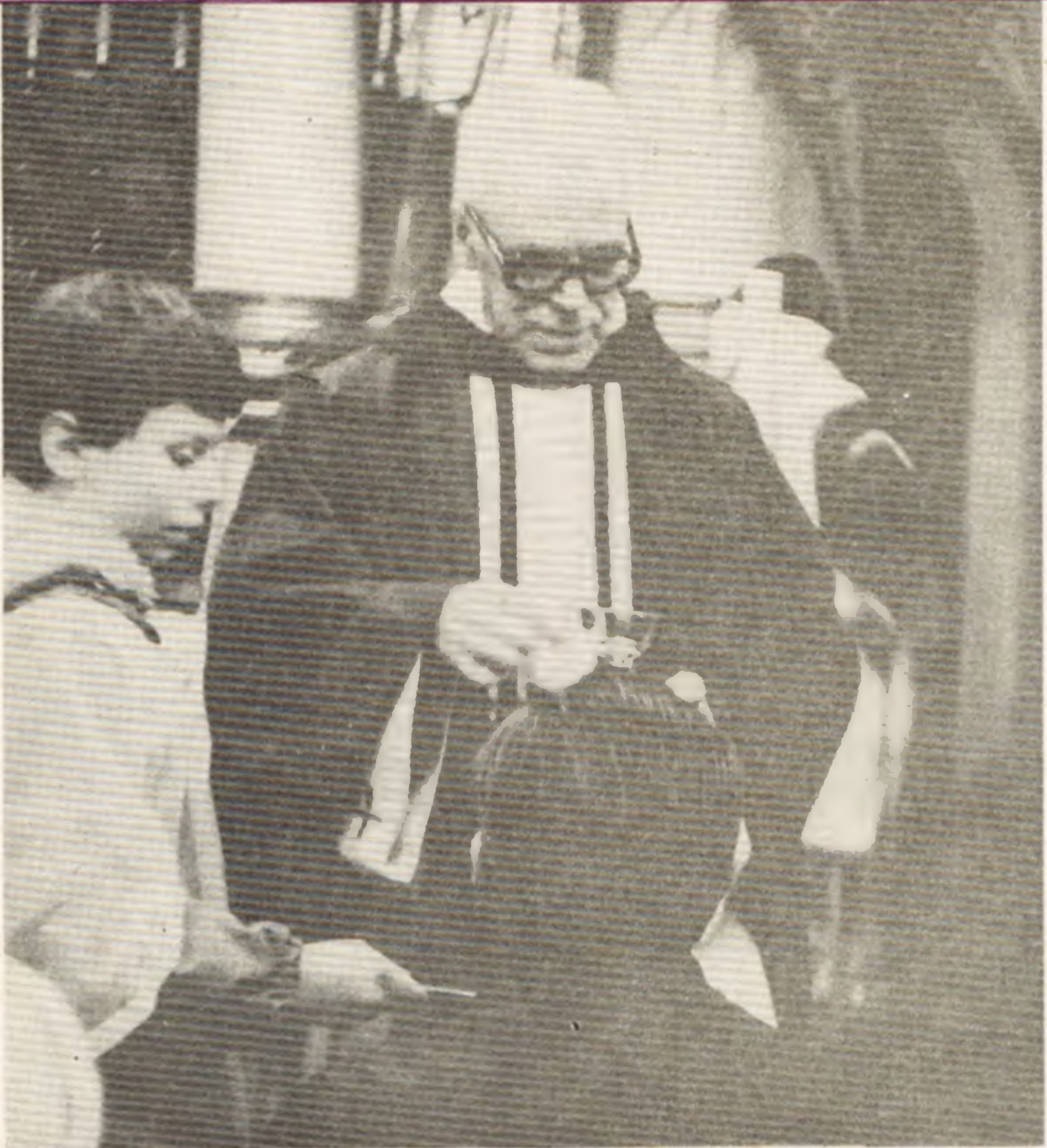
NR 6 (1161)

6 LUTEGO 1983 R.

CENA 12 ZŁ

W NUMERZE:

Ludrko współpracę z Barym słowem • 40-lecie kapłanstwa ks. docenta Edwarda Bałakiera • Św. Ignacy antiocheński • Aktualności polonijne • Cyganie • Dobre wychowanie • „Rodzina” dzieciom • Z zagadnień etyki chrześcijańskiej • Porady



Ks. doc. dr Edward Bałakier udziela Komunii św. w czasie uroczystej Mszy św. odprawionej w 40 rocznicę otrzymania święceń kapłańskich

(O Jubileuszu ks. doc. dr. E. Bałakiera piszemy na str. 8—9)

NIEDZIELA SZEŚCZDZIESIĄTNICY

Czytanie z II Listu św. Pawła Apostoła do Koryntian (11, 19-33, 12, 1-9)

Bracia: Radzi znosicie szalonych, będą sami rozumnymi. Bo znosicie, gdy kto was w niewolę podbija, gdy kto was objada, gdy wyzyskuje, gdy się wynosi, gdy was kto po twarzy bije. Na moją niekorzyść to mówię, jakobyśmy w tym słabi byli. Z czego jednak kto śmie się chlubić (mówię jak szalony) odważam się i ja: Hebrajczykami są, i ja. Potomstwem Abrahama są, i ja. Sługami Chrystusowymi są, (jako niespełna rozumu mówię) daleko więcej ja. W trudach bez liczby, w więzieniach zbyt często; w chłostach ponad miarę, w niebezpieczeństwach śmierci częstokroć. Od Żydów otrzymałem pięć razy po czterdzieści plag bez jednej. Trzykrotnie byłem smagany różgami, raz byłem kamienowany, trzy razy przeżyłem rozbitcie się okrętu, dniem i nocą byłem na morzu. Znam człowieka, w ciebie czy też poza ciałem, nie wiem: Bogu to wiadome (zachwycony był aż do trzeciego nieba). I wiem, że ten człowiek (czy w ciebie, czy poza ciałem, nie wiem: Bóg to wie) zachwycony był do rajów i postyszał tajemnicze słowa, których człowiekowi mówić się nie godzi. Z takiego chlubić się będą, z siebie natomiast chlubić się nie będą, chyba tylko ze słabości moich. Gdybym nawet zechciał się chlubić, nie byłbym bezrozumnym, bo mówiłbym prawdę. Ale wstrzymuję się, aby snadź nie rozumiał kto o mnie więcej nad to, co we mnie widzi albo co ode mnie słyszy. Abym się zaś dla wielkości objawień nie wynosił, dany mi jest bodziec ciała mego, anioł szatana, aby ode mnie odstąpił, ale mi rzekł: Dostyc masz łaski mojej, bo moc w słabości się doskonali. Rad tedy chlubić się będę ze słabości moich, aby moc Chrystusowa zamieszkała we mnie.

Ewangelia według św. Łukasza (8,4-15)

Onego czasu: Gdy zgromadziła się rzesza wielka i z miast zdążyli do Niego, mówił w przypowieści: Wyszedł siewca rozsiewać ziarna swoje. A gdy siał, jedno padło przy drodze. I zdeptane jest, a ptaki niebieskie wydziobały je. A drugie padło na grunt skalisty, a wszedłszy uschło, gdyż nie miało wilgoci. A inne padło między ciernie, a ciernie wzrosły wespół z nim i przygłuszyły je. A inne padło na ziemię, na urodzajną i gdy wzrosło, wydało plon stokrotny. To mówiąc, wołał: Kto ma uszy ku słuchaniu, niechaj słucha. Pytali Go tedy uczniowie Jego, co by to była za przypowieść. A On im rzekł: Wam dane jest poznać tajemnicę królestwa Bożego, innym zaś przez przypowieści aby „patrzyli, a nie ujrżeli i usłyszeli, a nie zrozumieli”. Taką zaś jest przypowieść: Ziarnem jest słowo Boże. Przy drodze są ci słuchacze, do których potem przychodzi szatan i porywa słowo z serca ich, aby uwierzywszy, nie byli snadź zbawieni. A na gruncie skalistym są ci, którzy posłyszawszy, z radością przyjmują słowo. Ale ci korzenia nie mają, wierzą do czasu, a w chwili próby ustępują. To znowu, które padło między ciernie, oznacza tych, którzy posłyszeli, ale odchodzą, przez troski, bogactwa i rozkosze życia są przygłuszeni i nie przynoszą owocu. Które jednak upadło na ziemię dobrą, oznacza tych, którzy w dobrym i szczerym sercu zachowują słowo i owoc przynoszą w wytrwałości.

Ludzka współpraca z Bożym słowem

W niedzielę i święta, a nie rzadko także w dzień powszedni jest czytane i wyjaśniane Słowo Boże. Miliony ludzi słucha ewangelii Jezusa Chrystusa. Czy Słowo Boże wpływa w sposób decydujący na ludzkie życie? Odpowiedź twierdząca może być dana z zastrzeżeniem, że skuteczność działania Słowa Bożego jest uzależniona w dużej mierze od słuchającego. Tę zależność wyjaśnia nam przypowieść o siewbie.

W pagórkowatej i poprzecinanej wąwozami Galilei obsiewano małe polećka, leżące nad brzegami strumieni w dolinach. W początkach listopada wieśniacy szli na pole wysiewać ziarno. Chrystus często przyglądał się tej pracy i widział jak ziarno padające na ścieżkę skazane było na wydeptanie i wydziobanie przez ptaki. Część nasion padała na grunt skalisty, pokryty cienką warstwą ziemi. Ziarno na gruncie skalistym wychodziło szybko, ale nie mogąc zapuścić korzeni ginęło pod żarem palestyńskiego słońca. Inne nasienia padały na glebę źle uprawioną, która rodziła oset i inne chwasty zagłuszające zboże. Ziarna padające na glebę żyzną wydawały obfity plon.

Opowieść Jezusa o zależności między plonem wydawanym przez ziarno a ziemią, była dla słuchaczy zrozumiała tylko w dosłownym swoim znaczeniu. Jaką prawdę Mistrz chciał przekazać w przypowieści? „Pytali Go Jego uczniowie, co by miała oznaczać ta przypowieść”. Ziarnem jest słowo Boże, które mówi o Królestwie Bożym — wyjaśnił Jezus. Nasionie padające na ścieżkę i wyzbierane przez ptaki oznacza Słowo Boże, które słuchacze przyjmują tylko uszami, a nie sercem. Szatan przychodzi i wrywa je. Grunt skalisty ozna-



„Wysoki urzędnik królowej etiopskiej zarządzający całym jej skarbem przybył do Jeruzolimy uczcić Boga. W drodze powrotnej czytał księgę Izajasza proroka. Do wozu, w którym jechał podszedł Filip wiedziony przez Ducha i słysząc słowa Izajasza zapytał: Czy rozumiesz co czytasz?”

cza słuchaczy powierzchownych, którzy z radością przyjmują wieść o Bożym Królestwie, ale przy pierwszej przeciwności zniechęcają się. Ziemia nie uprawiona, co rodzi ostry, oznacza słuchaczy opończonych namiętnościami i pochłoniętych troskami światowymi, którzy przez jakiś czas przechowują pragnienia całkowicie ją zagłuszyły. Ziemią dobrą są słuchacze, którzy chętnie przyjmują i pielęgnują w sobie słowo Boże, aż wyda ono owoc nawrócenia.

W wyjaśnieniu przypowieści przez Jezusa jest jedno zdanie, które określa warunki potrzebne do skutecznego słuchania słowa Bożego: „W żyznej ziemi oznacza tych, którzy wysłuchawszy słowa sercem szlachetnym i dobrym zatrzymują je i wydają owoc przez swą wytrwałość”. Słowo Boże trzeba słuchać sercem szlachetnym i dobrym. Chodzi o słuchanie z dobrą wolą, z wrażliwością i szczerym sumieniem. Słowo Boże należy zatrzymać, to jest strzec i przechowywać. Owocowanie słowa Bożego dokonuje się dzięki wytrwałości, która realizuje się przez wysiłek, trud i samozaparcie.

Ziarno słowa Bożego jest nieustannie rozsiewane. Miliony słuchaczy, podobnej do ziemi dobrej lub złej, słucha z rozmaitym skutkiem. Trzeba zadać sobie pytanie: jaki jest los ziarna słowa Bożego padającego na glebę naszego umysłu i serca. Życie jest owocem większej, mniejszej lub nikłej skuteczności słowa Bożego.

Dzieje Apostolskie opisują proces nawrócenia dworzanina etiopskiego. Wysoki urzędnik królowej etiopskiej zarządzający całym jej skarbem przybył do Jeruzolimy uczcić Boga. W drodze powrotnej czytał księgę Izajasza proroka. Do wozu, w którym jechał podszedł Filip wiedziony przez Ducha i słysząc słowa Izajasza zapytał: „Czy rozumiesz co czytasz?”. A tamten odpowiedział: Jakżesz mogę, jeśli mi nikt nie wyjaśnił? I zaprosił Filipa, aby wsiadł i spoczął przy nim. A czytał ten urywek Pisma: „Prowadzą go jak owcę na rzeź i jak baranek, który milczy, gdy go strzygą, tak on nie otwiera ust swoich. W jego uniżeniu odmówiono mu słuszości”. Proszę cię, o kim to prorok mówi, o sobie, czy o kimś innym? — zapytał dworzanin Filipa. Filip wychodząc z tego tekstu pisma opowiedział mu Dobrą Nowinę o Jezusie. W czasie podróży przybyli nad jakąś wodę. O to woda — powiedział dworzanin — cóż przeszkadza, abym został ochrzczony? I kazał zatrzymać wóz, i obaj, Filip i dworzanin zeszli do wody. I ochrzcił go. A kiedy wyszli z wody, Duch Pański porwał Filipa i dworzanin nigdy go już nie widział. Jechał zaś z radością swoją drogą”.

Francuski poeta Paul Claudelna krótko przed nawróceniem głęboko przeżywał śmierć swego dziadka oraz stryjecznego dziadka, których agonia była bardzo bolesna. W kilka miesięcy później szukał podniety do swojej pracy literackiej w obrzędach Kościoła. Poszedł na nieszpory i w pewnej chwili, słuchając nieznanego mu jeszcze hymnu „Magnificat” doznał — jak mówił głębokiego wzruszenia i w jednej chwili uwierzył.

Historia chrześcijaństwa podaje mnóstwo przykładów nawrócenia. W każdym wypadku ziarno słowa Bożego, rozsiewane w różnych formach, miało w sobie moc zmiany sposobu myślenia i postępowania człowieka. „Kto ma uszy ku słuchaniu niechaj słucha”. Wielu słucha słowa i nie rozumie, tak jak Żydzi słuchali Jezusa a nie zrozumieli bo byli podobni do drogi, skały lub ziemi zarosniętej chwastami. Jezusowa przypowieść o siewbie powtarza się w czasie każdej liturgii słowa. Czy słucham słowa Bożego z dobrą wolą i wrażliwością, czy zachowuję je i wydaję owoc czynów chrześcijańskiego życia?

Ks. KAZIMIERZ FONFARA

40-lecie kapłaństwa ks. docenta EDWARDA BAŁAKIERA

19 grudnia 1982 r., w czwartą niedzielę Adwentu, do świątyni katedralnej przy ul. Szwoleżerów 4 w Warszawie przybyli biskupi, duchowieństwo i wierni, by wziąć udział w podniosłej uroczystości związanej z 40 rocznicą otrzymania święceń kapłańskich przez ks. doc. Edwarda Bałakiera.

Uroczystą Mszę św. celebrował sam Jubilat w asyście ks. Henryka Dąbrowskiego i diakona Janusza Wrońskiego.

Rozpoczynając Mszę św. ks. Jubilat zaznaczył: „Dziś, w czwartą niedzielę Adwentu — tuż u progu Bożego Narodzenia rozpoczynamy Mszę św. Dla mnie osobiście niedziela ta ma szczególne znaczenie. W tę samą niedzielę, tylko 40 lat temu, a więc w roku 1942, otrzymałem święcenia kapłańskie z rąk arcyb. Stefana Sapiehy w Krakowie. Jakież uczucia mogą dziś wypełniać moje serce? Przede wszystkim uczucie wdzięczności dla Boga, naszego Stwórcy za to, że pozwolił mi w pełnym zdrowiu doczekać tego dnia i za to, że darzył mnie przez 40 lat służby kapłańskiej niezmaconą radością życia. Uweselał moją młodość i uweselał starość. I drugie uczucie: żalu i skruchy. Nie byłem doskonały. Nie byłem „alter Christus”... Miałem i mam liczne wady, popełniałem grzechy, może siałem nawet zgorszenie słowem lub czynem. Niech mi Bóg, miłosierny Ojciec, wybaczy to w dzień mego Jubileuszu. Korząc się przed Jego Majestatem proszę o przebaczenie.

Pismo św. poucza nas, że zostaliśmy stworzeni na obraz Boży. Uczynił nas Pan Bóg niewiele mniejszymi od aniołów, chwałą i czcią uwieńczył, obdarzył władzą nad dziełami rąk Swoich. Wszystko położył pod nasze stopy (Ps 8, 5—7). Ale

dokończenie na str. 8—9



Mszę św. celebrował Jubilat ks. doc. Edward Bałakier w asyście ks. H. Dąbrowskiego i diakona Janusza Wrońskiego

Św. Ignacy antiocheński



Wśród pisarzy dwóch pierwszych wieków Kościoła — zwanych „Ojcami Apostolskimi” — poczesne miejsce zajmuje św. Ignacy biskup i męczennik, któremu poświęcam niniejsze opracowanie.

Autentycznych i pewnych wiadomości o życiu i męczeństwie Ignacego mamy bardzo mało. Te zaś, które się dochowały, zaczerpnięte są z „Historii Kościoła” Euzebiusza z Cezarei oraz z „Męczeństwa św. Ignacego”. Powstało ono jednak dopiero w IV lub V wieku. Drugie jego imię („Theoforos” = „Noszący Boga”) dało początek legendzie, że to właśnie on był dzieckiem, które Chrystus postawił za wzór apostołom. Pewnego razu bowiem — jak opowiada Ewangelista — „przywoławszy dziecię, postawił je wśród nich i rzekł: Zaprawdę powiadam wam, jeśli się nie nawrócicie i staniecie jak dzieci, nie wejście do Królestwa Niebios” (Mt 18,2—3). Był jednym z uczniów Jana apostoła.

Według relacji Hieronima (zamieszczonej w „Żywotach sławnych mężów”) Ignacy, jako następca Piotra i Ewodiusza, był przez 37 lat biskupem na stolicy antiocheńskiej. Podczas jednego z prześladowań lokalnych, jakie za czasów cesarza Trajana wybuchło w Antiochii, aresztowano go wraz z grupą duchownych i świeckich wyznawców Chrystusa około 105 r. Następnie skazano go na pożarcie przez dzikie zwierzęta. Zakutego w łańcuchy wiedziono go pod strażą drogą lądową do Troady, skąd przewieziony został okrętem do Italii.

W drodze do Rzymu — mimo warunków więziennych — mógł kontaktować się z gminami chrześcijańskimi. Toteż podczas dwóch dłuższych postojów, w Smyrnie (dzisiejszy Izmir) i w Troadzie, odwiedziły go delegacje Kościołów z Azji Mniejszej, przekazując mu wyrazy szacunku i współczucia. Korzystając z okazji, napisał Ignacy w Smyrnie cztery listy, z których trzy adresowane były do Kościołów małoazjatyckich w Efezie, Magnezji i Tralles, a jeden do Rzymian. Wiernym z Azji Mniejszej dziękuje za pozdrowienia, jakie przesłali mu za pośrednictwem specjalnych wysłanników.

Podczas postoju w Smyrnie dowiedział się Ignacy również, że chrześcijanie rzymscy starają się uzyskać dla niego amnestię. Stąd też w skierowanym do nich liście, w sposób niezwykle obrazowy, przedstawia cierpienia jakie znosić musi w podróży oraz snuje wizję czekającego go męczeństwa. Piszę bowiem: „Z Syrii aż do Rzymu bezustannie, na lądzie i na morzu, w nocy i za dnia walczę ze zwierzętami. Związany jestem z dziesięcioma lampartami, to jest żołnierzami, którzy mnie strzegą. Są oni tacy, że gdy zrobi im się coś dobrego, stają się gorsi. Ich niegodziwość jest dla mnie nauką, lecz nie to uczyniło mnie sprawiedliwym. O, obym już mógł zakosztować zwierząt, które są dla mnie przygotowane. Proszę, aby mi szybko zgotowały zgnęb, będę je przynęcał do pożarcia mnie, gdyby jak w przypadku innych męczenników, nie śmiały dotknąć ciała. Gdyby nie chciały się rzucić, użyję przemocy, ażeby mnie pożarły. Przebaczenie mi syneczkowie, ja wiem, co jest dla mnie pożyteczne. Zaczynam teraz być uczniem. Nie pragnę niczego z tych rzeczy widzialnych, niczego, żebym tylko odnalazł Chrystusa. Niech przyjdą na mnie ogień, krzyż, dzikie zwierzęta, łamanie kości, rozdzieranie członków, miażdżenie ciała i tortury diabelskie, bylebym tylko żył z Chrystusem”. Ignacy pragnął męczeństwa. Prosił więc chrześcijan rzymskich, by nie czynili u cesarza żadnych starań o jego uwolnienie, lecz pozwolili mu umrzeć. Dał temu wyraz, gdy pisał: „Chętnie umieram dla Boga, a więc nie przeszkadzajcie mi w tym. Błagam was, nie okazujcie mi zbytnej życzliwości. Pozwólcie mi stać się żerem dzikich zwierząt, bo przez to dojdę do Boga”. Nieco zaś wcześniej prosi: „Wyświadczenie mi więc tę największą przysługę i pozwólcie mi złożyć siebie Bogu na ofiarę, skoro ołtarz ofiarny jest już gotów”.

W Troadzie dowiedział się Ignacy, że prześladowanie w Antiochii ustało. Wobec tego napisał listy do gmin chrześcijańskich w Filadelfii i Smyrnie oraz do biskupa Polikarpa, prosząc, by przez poselstwo złożyli braciom w Antiochii życzenia z powodu nastania pokoju.

Wreszcie pragnieniom Ignacego stało się zadość. Bowiem — rozszarpany przez dzikie zwierzęta — dokonał swego żywota 20 grudnia około 110 r. „Umarł może w czasie igrzysk dla uczczenia zwycięstwa, kiedy to cesarz Trajan poświęcił dla zabawy krwiożerczych Rzymian życie 10.000 gladiatorów i 11.000 dzikich zwierząt. Zapewne w obrzymim Koloseum, świeżo wybudowanym i błyszczącym złotem i marmurem, zakończył św. Ignacy zwycięsko swoje życie” (Parsch: Rok liturgiczny — Poznań 1956, tom I, str. 320). Uroczystość jego obchodzona jest w Kościele wschodnim w dniu jego śmierci. Kościół zachodni czci jego pamiątkę 1 lutego.

„Według nauki św. Ignacego Eucharystia zawiera Ciało i Krew Chrystusa, które mają moc zapewnienia nam życia wiecznego”

Autentyczność listów św. Ignacego nie budzi najmniejszej wątpliwości. Już bowiem św. Polikarp zapewnia, że zebrał wszystkie listy Ignacego oraz stwierdza, że „mówią one o wierze i cierpliwości i o wszystkim, co może zbudować i pociągnąć do Pana naszego”. Wiele zdań ze wspomnianych listów cytują: Ireneusz, Orygenes i Euzebiusz z Cezarei. Powołują się na nie: Atanazy Wielki, Jan Chryzostom i Hieronim. Ponadto (co również nie jest bez znaczenia) noszą one znamiona ucznia Janowego — pałając miłością ku Jezusowi. Posiadają wreszcie cechy epoki w której powstały.

Listy św. Ignacego — choć pisane były w trudnych warunkach oraz w pośpiechu — poruszają ważne ówczesne kwestie teologiczne. Nic więc dziwnego, że od najdawniejszych czasów cieszyły się wielką powagą, i są znakomitą świadectwem wiary ówczesnego Kościoła. Bowiem listy do Tralian i do Smyrneńczyków zawierają wyznanie wiary w formie znanych wówczas symboli.

Niezwykle jasno przedstawiona jest w listach Ignacego nauka o Trójcy Świętej. Bowiem w liście do Efezjan pisze: „Jesteście jakby kamieniami przygotowanymi do budowy świątyni Boga Ojca, wzniesionymi na górę krzyżem Jezusa Chrystusa, jakby machiną podnoszą na budowlę, a liną co was wzwyż unosi — Duch Święty”.

Autor listów stara się umocnić ich adresatów w wierze w bóstwo Chrystusa przeciw ebionitom oraz w Jego człowieczeństwo przeciw doketom. Stwierdza bowiem: „Jeden jest tylko Lekarz — cielesny i duchowy razem; zrodzony i niezrodzony, istniejący w ciele Bóg, w śmierci — żywot prawdziwy, z Maryi i z Boga; najpierw cierpieniu podległy, a potem niecierpieliwy — Jezus Chrystus, nasz Pan”. Zwraca także uwagę na dziewictwo Maryi, gdy pisze: „Bóg nasz Jezus Chrystus, noszony w łonie przez Maryję według planu zbawczego..., wprowadzie z nasienia Dawida, ale — z Ducha Świętego”.

Według nauki Ignacego Eucharystia zawiera Ciało i Krew Chrystusa, które mają moc zapewnienia nam życia wiecznego. Świadczą o tym jego słowa: „Radości swojej nie znajduję ani w przemijającym pokarmie, ani w rozkoszach tego życia. Ja pragnę chleba Bożego, chleba niebieskiego, chleba żywota, który jest Ciałem Jezusa Chrystusa, Syna Bożego... i pragnę napoju Bożego, pragnę Krwi Jezusowej, która jest miłością nieprzemijającą i życiem wiecznotrwałym”.

Istotne znaczenie listów Ignacego polega na wyraźnym świadectwie o episkopalnym ustroju Kościoła, przynajmniej w Syrii i Azji Mniejszej. Bowiem na czele każdej gminy chrześcijańskiej stoi biskup, zaś „bez biskupa nie ma Kościoła”. Autor przyznaje biskupowi szeroki zakres funkcji. Świadczy o tym napomnienie skierowane do Smyrneńczyków: „Niech nikt nie załatwia żadnej sprawy kościelnej bez biskupa. Ważna jest Eucharystia sprawowana przez biskupa, albo tego, któremu on zezwolił. Tam gdzie jest biskup, niech będzie ogół, tak jak Kościół katolicki jest tam gdzie Chrystus. Ani chrzcici, ani sprawować „agape” nie godzi się bez biskupa. Co bowiem on uzna za słuszne, to podoba się Bogu; — a tak pewne i ważne jest wszystko co się sprawuje”.

Wspomina również często o trójstopniowej hierarchii w Kościele, w skład której wchodzi biskup, prezbiterzy i diakoni. Podkreśla również, że należy się im posłuszeństwo i szacunek. Daje temu wyraz, gdy pisze: „Wszyscy bądźcie posłuszni biskupowi, jak Jezus Chrystus Ojcu; starszych (prezbiterów) słuchajcie jak apostołów, diakonów czcicie jak Boże przykazania”. Przypomina konieczność zachowania jedności wyznawców z hierarchią, gdyż od tego uzależniona jest ich łączność z Chrystusem. Świadczą o tym jego słowa: „Stójcie przy biskupie, aby Pan stał przy was. Duszę swą kładę za tych, którzy są poddani biskupowi, kapłanom i diakonom”.

Ignacy to piękny charakter, gorący miłością Chrystusa, którego obecność widzi w biskupie. Głęboka troska o jedność Kościoła, przekonanie o wewnętrznej łączności z Bogiem zjednały mu szacunek współczesnych. Również i obecnie jest jednym z najbardziej czołowych Ojców Apostolskich.

Ks. JAN KUCZEK

Ukazało się drugie wydanie (poprawione i uzupełnione) książki (powiel.)

bp. prof. dr. Maksymiliana RODEGO pt.:
ZARYS DZIEJÓW MYŚLI FILOZOFICZNEJ.
stron 411, cena 130 zł.

Nadto są jeszcze do nabycia następujące książki autorstwa bp. M. Rodego:

IDEOLOGIA SPOŁECZNA NOWEGO TESTAMENTU,
tom III

(Instytucje społeczne. Złote myśli społeczne. Konkordancja. Stron 587, cena 60 zł. Tomy: I i II są wyczerpane).

FILOZOFIA DZIEJÓW ROZWOJU MYŚLI SPOŁECZNEJ. Tom I

Prastarożytność, stron 551, cena 80 zł.

FILOZOFIA DZIEJÓW ROZWOJU MYŚLI SPOŁECZNEJ Tom II

Starożytność, stron 515, cena 80 zł.

Książki te nabyć można tylko bezpośrednio w Chrześcijańskiej Akademii Teologicznej, 00-246 Warszawa, ul. Miodowa 21, albo za zaliczeniem pocztowym.



Wszystkim chorym, cierpiącym i upośledzonym ku pokrzepieniu ducha i wytrwaniu w walce z przeciwnościami

... błogostawcie Pana, mrozy i zimna.
błogostawcie Pana, lody i śniegi,
błogostawcie Pana, dnie i noce...
błogostawcie Pana, błyskawice i chmury...
błogostawcie Pana, góry i pagórki...
błogostawcie Pana, synowie ludzcy...
Kantyk Trzech Młodzieńców (Dn 3,57)

Mount Everest — „dach świata”, Czomolungma, Sagarmatha. Pierwszy raz zdobyty 29 maja 1953 roku przez Edmunda Hillarego (Nowozelandczyk) i Tenzinga Norkey (Nepalczyk). Późniejsi zdobywcy:

1975 r. — pierwsza kobieta Juko Tabei (Japonia).

1978 r. — pierwsza Europejka Wanda Rutkiewicz (Polska).

1980 r. — pierwsze wejście zimowe Leszek Cichy i Krzysztof Wielicki (Polska).

Zanim Polacy zdobyli najwyższy szczyt zimą, musieli przejść przez wiele trudów i cierpień. Była to wyprawa narodowa, w której uczestniczyło dziesiątki osób. Do Nepalu pojechało 20 uczestników, a szczyt zdobyło tylko 2. W tych dwóch zdobywcami są wszyscy, którzy przyczynili się swoim wysiłkiem do zrealizowania tej bardzo ryzykownej wyprawy, w której Polakom nie dawano żadnych szans.

Zdobycie szczytu zimą było bardzo trudne. John Hunt, który kierował brytyjską wyprawą w 1953 roku, pisał: „W ciągu zimy od listopada do marca, wieje nieustannie dziki wicher z północnego-zachodu. Jest on silny, jego szybkość może się wahać od siedemdziesięciu do osiemdziesięciu węzłów; poza tym jest przerażająco zimny.

Ten potężny zachodni wiatr panuje niepodzielnie przez całą zimę wśród wysokich pustkowi. Omal niemożliwością jest wejście na którykolwiek z większych szczytów hima-

lajskich w tym sezonie, chyba że chodzi o jakąś wyjątkowo osłoniętą i wygodną drogę”.

W notatkach Wielickiego znalazł się taki zapis: „Jak tylko dmuchnie — nad szczytem unosi się biały piurpusz. Po jego wielkości można się zorientować, jak silny jest wiatr tam, w górze. Któregoś dnia wiało tak, że po prostu nie dało się oddychać. Jak szło się przodem do wiatru, to bił po twarzy grudkami niesionego z Lhotse lodu. Tyłem do wiatru też nie można, bo akurat przed twarzą powstaje próżnia. Na dodatek powietrze jest rozrzedzone, więc się dusisz. Całe szczęście, że to wszystko dzieje się w stosunkowo łatwym terenie. W ścianie nie dałoby się tego znieść”.

Święta Bożego Narodzenia spędzili nasi zdobywcy tradycyjnie po polsku. „(...) Choinka już umajona. Wzięliśmy z kraju trochę ozdób choinkowych. Były ciasta, kolędy, wspomnienia, znalazło się coś do picia... Ale pamiętam, że wcale nie było zbyt wesoło. Wszyscy mówili, że co jak co, ale następne święta to już spędzą w domu, z rodziną. Każdy z nas zaliczył ileś tam Wigilii poza domem — i to zaczyna już męczyć. Niby na smutno, ale trochę pośpiewaliśmy”.

Codziennie proste czynności w tych wysokogórskich warunkach stawały się olbrzymim problemem. Zwykle przesunięcie namiotu wymagało wielkiego wysiłku. „Na takiej wysokości wyrabianie w stromym stoku, pokrytym grubą warstwą lodu, platformy dwa na trzy metry to jest zupełnie wykańczająca robotą.

Pracowaliśmy na kolanach albo siedząc, bo nie mieliśmy siły stać. Kiedy w końcu wszy-

ciąg dalszy na str. 6

MAŁA ENCYKLOPEDIA TEOLOGICZNA (711)

W opracowaniu bpa M. Rodego



Obowiązek — w znaczeniu teologicznym to nakaz moralny wypełnienia czy wypełniania zgodnie z Wolą Bożą i na Jej podstawie jako źródle treści przykazań Bożych (→ Dekalogu; Dwa przykazań miłości, i in.), przykazań kościelnych i innych praw i ustaw, będących w granicach prawa natury i prawa pozytywnego Bożego. Nie wypełniający ich w grzechach ważnych — popełnia → grzech ciężki, w rzeczach mniej ważnych — grzech lekki, powszedni.

Obraza — → obelga.

Obrazoburcy — → ikonokłaści.

Obrazoburstwo — → ikonokłaści.

Obrazów cześć — to cześć, jaką wierzący składają, patrząc na obraz, figurę lub pomnik itp., przedstawiające ludzi zmarłych, uznanych przez dany Kościół za błogostawionych lub świętych, nie tym obrazom, rzeźbom, figurkom itd., a tym błogostawionym i świętym, których one przedstawiają, ich życiu, ich osiągnięciom, ich zasługom, czym za swojego życia w sposób szczególny stawili przede wszystkim Boga. Czcząc więc błogostawionych i świętych, a obrazy, figury itp. przypominają ich, bezpośrednio, czci się też pośrednio i ostatecznie samego Boga.

Cześć zaś skierowana bezpośrednio do obrazów, rzeźb, figur, pomników itp., przedstawiających błogostawionych i świętych, jest bałwochwalstwem, a tym samym praktyką grzeszną (→ ikonolatria; → idolatria).

Obrońca sakramentów: małżeństwa i kapłaństwa → defensor vinculi.

Obrus ołtarzowy — to białe konopne lub lniane nakrycie ołtarza w Kościołach Katolickich. W Kościołach tych w miarę

możliwości ołtarz, na którym odprawia się → Mszę św., powinien być przykryty trzema białymi obrusami i to tak długimi, aby przykrywały również boki ołtarza aż do posadzki. Na środku ołtarza w czasie Mszy św. celebrans dodatkowo rozkłada przed ofiarowaniem → korporał (jakby miniaturowy biały obrus), na którym po przeistoczeniu spoczywa Hostia czyli Ciało i Wino czyli Krew Pańska. Rozkłada się korporał na środku ołtarza (na mensie) również każdorazowo, kiedy z → tabernakulum wyjmuje się → Najśw. Sakrament i stawia się Go na ołtarzu na chwilę lub dłużej poza Mszą św., np. w czasie wystawienia Najśw. Sakramentu, w czasie brania z → puszek Hostii św., z Którą następnie jako → Wiatykiem kapłan udaje się do chorego, by go Nim posilił na drogę do wiecznie trwającego życia pozagrobowego.

Obrządek — od łac. ritus, zwany też rytym — to zespół ustalonych form i sposobów wykonywania publicznego → kultu w zależności od ustroju danego → Kościoła. Wśród najważniejszych obrządków wymienić należy: Obrządek Rzymskokatolicki, zwany też Łacińskim, albo Zachodnim, jest on obecnie różnorodnym; dalej Obrządki Wschodnie: Grecki; Ormiański; Syryjski; Chaldejski; Koptyjski i Etiopski; Wschodniosłowiański.

Obrzezanie — to religijny, rytualny, zabieg operacyjny, dokonywany u żydów na niemowlęcych płci męskiej w ich ósmym dniu życia, a u muzułmanów w trzynastym dniu życia, o polegający na odcięciu części napletka. Obrzezanie praktykowane też było u innych jeszcze ludów starożytnego Wschodu. Według → Biblii obrzezanie było w Starym Testamencie symbolem przymierza Izraela z Bogiem, z → Jahwe. W Nowym Testamencie obrzezanie zostało zniesione na pierwszym soborze, który odbył się ok. 50 roku w Jerozolimie (por. Dz. Ap. XV).

dokończenie ze str. 5

stko było gotowe, zwałiliśmy się w namiocie jak klody i dyszeliliśmy bez ruchu. W nocy zaczęło cholernie szarpać namioty. Musieliśmy trzymać maszty, żeby nacierająca wichura nie porwała nas razem z całym sprzętem. Na dodatek zrobił się straszny mróz. Prawie dziesięć stopni zimniej niż w „dwójce”. Gdy rano obudziliśmy się, w namiocie było dosłownie biało od szronu, tym bardziej że zamknęliśmy namioty na noc, żeby uchronić się przed wiatrem”. Wielicki miał nogi odmrożone z poprzednich wypraw. „Przemrożona na nowo skóra zaczęła pękać, krwawić. Próbowaliśmy stawiać nogi bokiem, żeby nie obciążać palców, i przez to się potknąłem. Przeleciałem parę metrów, ale na szczęście wyhamowałem czekaniem.

Choć byli w grupie i stanowili wyprawę narodową, to jednak pozostawał problem samotności, która: „rośnie proporcjonalnie do wysokości i trudów marszu. W bazie można liczyć na wszystkich kolegów, na ministerstwo turystyki, nawet na ambasadora, na lodowca na wszystkich, którzy tam są, na przełęczy pomoże partner, ale na grani jesteś już zupełnie sam. Tylko że tam się o tym nie myśli. Tam się walczy — najpierw o sukces, a potem o przetrwanie”.

17 lutego 1980 r. Leszek Cichy i Krzysztof Wielicki o godzinie 14.25 zdobyli Mount Everest. Cichy wspomina: „Stałem na szczycie najwyższej góry świata. Byłem pierwszym człowiekiem, który doszedł tu zimą. Jeśli wierzyć niektórym moim kolegom, powinienem teraz przeżywać największą euforię swego życia, powinienem czuć, jak rosną mi skrzydła, albo przynajmniej mieć jakieś mistyczne omamy. Nic z tych rzeczy. Po prostu stałem i ciężko dyszałem. Cieszyłem się, owszem, ale nie poza tym. (...) wcale nie miałem wrażenia, że dokonałem czegoś niezwykłego. Tak już jest w życiu, że kiedy człowiek bardzo czegoś pragnie i długo na to czeka, to wyobraża sobie, że jak osiągnie swój cel — cały świat przewróci się do góry nogami. Kiedy w końcu ten moment przychodzi, okazuje się, że nic się nie zmieniło, wszystko jest po staremu, a radość nie jest znów taka ogromna”.

Po umieszczeniu flag i zrobieniu zdjęcia

„zawiesiliśmy na triangulu różaniec i krzyżyk od matki Staszka Latały — naszego kolegi, który zginął w siedemdziesiątym czwartym podczas wyprawy na Lhotse — i włożyliśmy do schowka kartkę z napisem: „Polish Winter Expedition”. Chcieliśmy już odchodzić, kiedy przypomnieliśmy sobie o minimalnym termometrze. Zawiesiliśmy go na triangulu, żeby następnym razem tu wejść, mogli sprawdzić, jaka była w międzyczasie najniższa temperatura. Na koniec Leszek poszedł zbierać kamyki, a ja włożyłem do specjalnych plastikowych torebek parę garści śniegu dla naukowców”.

Odwrót ze szczytu i powrót do swoich jest jeszcze gorszy niż samo wejście. Na szczycie znaleźli kartkę z napisem: „For a good time call Pat Rucker 274 — 2602 Anchorage, Alaska, USA”. Zdobywca zmarł w nocy z wycieńczenia. Rano zmarła jego towarzysząca Hannelore Schmatz. Zdobyli szczyt, ale nie mieli siły wrócić do swoich. Pięć po trzeciej Cichy i Wielicki zaczęli odwrót. Relacja Cichego: „Schodziliśmy ostrożnie. Szliśmy tyłem, krok za krokiem, rąbiąc w firnie miejsce na wbiecie czakana”.

Relacja Wielickiego: „Tuż za wierzchołkiem straciłem wzrok. Przez długą chwilę widziałem tylko białe plamy. Żadnych kształtów, proporcji, barw. Przede mną stanęła biała, nieprzenikniona ściana. Straciłem poczucie czasu i kierunku. Przypomniałem sobie o okularach, które zdjąłem jeszcze w czasie podejścia, bo co chwila zachodziły mi parą. Założyłem je i przez jakiś czas stałem zupełnie bezradny na pokrytym osypującym się śniegiem stromym stoku. Bałem się ruszyć. Kurczowo chwyciłem głowicę czakana i czekałem, aż odpoczywające za szkłem oczy znów zaczną widzieć”.

Wzrok zaczął tracić również Cichy. Gubili drogę, siebie, co krok ocierali się o widmo śmierci. Pierwszy do namiotu dotarł Cichy: „Wczołguję się do środka. Nogi zostają na zewnątrz. Leżę prawie bez czucia. Trwa to

dobrą chwilę. Oddech trochę się uspokaja, ale siły wracają bardzo wolno. Każdy, najmniejszy nawet ruch wydaje się ogromnym, atletycznym wysiłkiem. Wolniutko, niemal niezauważalnie zaczynam się rozgrzewać. Teraz już mogę się rozprężyć. Zwyciężyłem. Za chwilę przyjdzie Krzysiek. Czy przyjdzie? Przyjdzie na pewno. Jestem o niego jakos dziwnie spokojny”.

Nazajutrz ogarnęło Polaków wielkie rozleniwienie. „Najchętniej leżałbym tak i leżał — wspomina Cichy — bez końca. Znałem to uczucie z licznych opisów. Kończyła się już druga doba naszego pobytu na ośmiotysięcznej wysokości. Mój stan był efektem poważnego zaburzenia równowagi tlenowej organizmu. Zdarzało się, że alpiniści, którzy popadli w taki letarg, nie mogli się zdobyć nawet na zejście do niższego obozu. Zostawali na górze, skazując się na powolną śmierć z wycieńczenia lub zimna”.

Jeszcze tylko spakować swoje rzeczy oraz namiot i dołączyć do oczekujących na dole. „Wszyscy radzili nam, żebyśmy zostawili namiot, ale wydawał nam się zbyt cenny — kosztował trzysta pięćdziesiąt dolarów i nie było takiego drugiego w Polsce”. W obozie trzecim czekali na nas Cielecki z Pawlikowskim i dwóch Szerpów, którzy rano doszli z „dwójki”. Ich radość, wielka, szczerą, spontaniczną radość starczyłaby dla okupienia całego naszego wysiłku, cierpienia, zmagania ze sobą i z pogarszającą się pogodą. Dopiero teraz zrozumieliśmy, że byliśmy tam — na Górze Świata. Znowu byliśmy wśród swoich i nikt oprócz nas nie rozumie, z jak daleka do nich wróciliśmy”.

Leszek Cichy, magister inżynier geodezji, miał 29 lat, a Krzysztof Wielicki, inżynier elektronik 30 lat — w chwili zdobycia najwyższej góry świata.

Ks. B.W.

MAŁA ENCYKLOPEDIA TEOLOGICZNA (712)

Obserwanci — (łac. observantes = godni czy pełni szacunku) — to, ogólnie biorąc, nazwa tych zakonników, którzy z powodu rozluźnienia pierwotnych reguł, żądali surowego, tzn. ścisłego przestrzegania pierwotnej reguły swojego zakonu. Od XV/XVI w. obserwantami zaczęto nazywać tych zakonników konkretnych już zakonów, a mianowicie: franciszkanów, karmelitów, kamedułów, którzy grupowo żądali realizowania zasad pierwotnej, surowszej reguły. Te przegrupowania, one bowiem wśród tych przede wszystkim zakonów zrealizowały się, ostatecznie zostały uznane i stąd wyróżnia się i odróżnia się w zakonie franciszkańskim jako obserwantów kapucynów i braci mniejszych (w Polsce to: bernardyni i reformaci), od franciszkanów konwentualnych.

Ochino Bernard — (ur. 1487, zm. ok. 1564) — w pierw. włoski rzymskokatol. zakonnik, potem zwolennik → Kalwina, następnie antytyrnytarz, a właściwie człowiek idący własną, przeciwstawną rzymskokatolicyzmowi i nie tylko, drogą i wyznający własną eklektyczną i nie bardzo logicznie spójną ideologię. Napisał wiele kazań, wiele tzw. Apologii, Dialogów i pism o treści teologicznie kontrowersyjnej i dyskusyjnej.

Ockham Wilhelm — William — (ur. ok. 1300, zm. ok. 1349) — to angielski franciszkanin, filozof i teolog, jeden z głównych przedstawicieli późnej — scholastyki. Jest autorem kilku o zasadniczym znaczeniu głównie dla tamtego okresu dzieł filozoficznych i teologicznych, a również z zakresu spraw społeczno-politycznych, jak np. *De imperatorum et pontificum potestate*, czyli *O władzy cesarzy i papieży*. W dziełach swoich m.in. dowodził, że teologia nie jest nauką i że słuszności prawd religijnych nie można udowodnić rozumowo, więc i naukowo, że są one wobec tego tylko przedmiotem wiary. Miał i ma swoich zwolenników i uczniów, a nazywa się ich okamistami, a kierunek jego dowodzenia filozoficzno-teologicznego — okamizmem.

Oczyszczenia droga — to w osiąganiu doskonałości chrześcijańskiej, zwłaszcza w interpretacji katolickiej, pierwszy etap, etap polegający na wyzbywaniu się przez człowieka czyli oczyszczaniu się z → grzechów ciężkich i wad. Z tej drogi, przy pomocy oczywiście zawsze Łaski Boga, przejść można, czy przechodzi się na tzw. drogę oświeceniową, oświecającą, a z tej kolejno na drogę jednoczącą już człowieka z Bogiem (po łacinie drogi te nazywają się: *via purgativa*, *via illuminativa*, *via unitiva*).

Trzeba tu też wspomnieć, że w wierzeniach dawnych, także u Hebrajczyków, szczególną i to rzeczywistą moc oczyszczającą człowieka przypisywano wodzie i ogniu, co uwidoczniło się też jeszcze współcześnie w niektórych religiach, np. hinduskich (kąpiele oczyszczające w Gangesie; polewanie wodą — chorych, itd.); palenie zwłok ludzkich, itd.), a również w chrześcijaństwie, w którym stała się np. symbolem oczyszczenia kobiety po urodzeniu dziecka; woda święcona, używana przez kapłana w specjalnym obrzędzie, zwanym popularnie „wywodem”, a przypominającym Oczyszczenie Najświętszej Maryi Panny w świątyni Jerozolimskiej i Ofiarowanie Jezusa w tejże świątyni w tym samym czasie, więc w czterdziestym dniu po narodzeniu (późniejsza i obecna uroczystość 2 lutego, zwana też uroczystością Matki Boskiej Gromnicznej; → Gromnica); dalej zęganie się wodą święconą, jako też kropienie wodą święconą przy różnych okolicznościach, a zwłaszcza przed sumą w kościele — „Pokropisz mnie”; woda wreszcie konieczna jest przy udzielaniu pierwszego, najważniejszego z sakramentów, sakramentu → Chrztu Świętego. Wszelako w chrześcijaństwie dzieje się to ze skutkami nadprzyrodzonymi na podstawie ustanowienia → Jezusa Chrystusa i w obszarze sakramentalnym (→ sakrament), względnie parasakramentalnym; w misteryjnym też znaczeniu mówi się w teologii katolickiej o oczyszczającym działaniu ognia w

KAZIMIERZ TWARDOWSKI



Kazimierz Twardowski
— twórca polskiej szkoły filozoficznej

W dziejach myśli filozoficznej trwale miejsce zajmują polscy filozofowie, niektórzy z nich stworzyli nawet własne oryginalne systemy filozoficzne, większość jednak podejmowała i rozwijała myśli zrodzone przez innych filozofów. Aż do czasów najnowszych nie udało się polskimi filozofom stworzyć samodzielnej szkoły filozoficznej. Dokonano tego dopiero na początku obecnego stulecia.

Po upadku państwa polskiego (koniec XVIII w.), przed nauką w ogóle, a przed filozofią w szczególności stanęły nowe zadania — miała ona przede wszystkim przechować przez czas niewoli zasadnicze wartości kultury polskiej. Uczeni polscy, filozofowie, byli więc nauczycielami w najszerszym tego słowa znaczeniu. Najlepiej wyraził to znakomity astronom, matematyk i filozof z początku XIX wieku, Jan Śniadecki (1756—1830). „Oto Polakom teraz najpotrzebniejsza jest taka filozofia, która by służyła wychowaniu uczonych”.

Pod koniec XIX w. narodziła się pierwsza szkoła filozoficzna, która wkrótce zyskała znaczenie światowe. Za formalny początek rozkwitu polskiej szkoły filozoficznej uznaje

się zazwyczaj dwie daty: objęcie w 1895 roku Katedry Filozofii na Uniwersytecie Lwowskim im. króla Jana Kazimierza przez Kazimierza Twardowskiego i założenie w Warszawie w latach 1897—98 przez Władysława Weryhę (1868—1916) pierwszego pisma filozoficznego w Polsce — „Przeglądu Filozoficznego”. Te dwa fakty dały początek rozwojowi polskiej myśli filozoficznej, która w latach dwudziestych XX wieku, jako szkoła filozoficzna lwowsko-warszawska, była już szeroko znana.

Kazimierz Twardowski urodził się 20 października 1866 roku, odbywał studia na Wydziale Filozoficznym Uniwersytetu w Wiedniu, gdzie uzyskał doktorat, a następnie docenturę. Z filozofów wykładających wówczas w Wiedniu najsilniej oddziaływał na Twardowskiego słynny filozof niemiecki (pochodzenia włoskiego) Franciszek Brentano. Wpływ tej wybitnej postaci ówczesnej filozofii niemieckiej widoczny jest w całej twórczości naukowej Twardowskiego.

W roku 1895 otrzymał Twardowski nominację na profesora filozofii Wydziału Filozoficznego Uniwersytetu w Lwowie. Stanowisko to piastował do chwili przejścia na

emeryturę w roku 1930. Umarł w Lwowie 11 lutego 1938 roku.

Twardowski był wybitnym nauczycielem uniwersyteckim. Na jego wykłady z historii filozofii, teorii poznania, logiki, etyki, psychologii uczęszczali tłumnie studenci wszystkich dyscyplin nauczanych na Wydziale Filozoficznym Uniwersytetu Lwowskiego. Wielu też późniejszych uczonych różnych specjalności, nauczycieli, dziennikarzy itd. przeszło przez prowadzone przezeń prosemnaria i seminaria. Te ostatnie skupiały jednak głównie ludzi chcących studiować filozofię. Tym swoim najbliższym uczniom poświęcał Twardowski znaczną część swej pracy nauczycielskiej. Owocem jej było wykształcenie licznych badaczy w dziedzinie filozofii, w tym wielu późniejszych nauczycieli akademickich wykładających filozofię na różnych uniwersytetach Polski.

Kazimierz Twardowski zajmował się przede wszystkim analizą ludzkiego poznania, był pionierem nowoczesnych badań w psychologicznej teorii pojęć. Dokonał analizy wielu podstawowych pojęć w psychologii, etyce i logice. Rozwinął logikę i badania języka. Właśnie wyniki badań semantyczno-logicznych przysporzyły szkole Twardowskiego trwałe miejsce w filozofii.

Charakterystyczną cechą szkoły lwowsko-warszawskiej było posługiwanie się niesłychanie precyzyjnym językiem naukowym — podkreślanie znaczenia logiki.

Uczniowie Kazimierza Twardowskiego — Jan Łukasiewicz (1875—1956) i Stanisław Leśniewski (1886—1939) — stworzyli szolowy w pierwszej połowie XX wieku ośrodek logiki światowej — warszawską szkołę logiki. Jan Łukasiewicz stworzył w 1920 roku tzw. logikę trójwartościową, a po II wojnie światowej, będąc profesorem w Royal Irish Academy w Dublinie zbudował system dwuwartościowego rachunku zdań, określanego jako „arcydzieło prostoty formalnej”.

Stanisław Leśniewski natomiast był twórcą teorii kategorii semantycznych, zbudował trójczłonowy system logiki.

Do znakomitych przedstawicieli szkoły lwowsko-warszawskiej należeli: Kazimierz Ajdukiewicz (1890—1963), Tadeusz Czeżowski (1889—1981), Tadeusz Kotarbiński (1886—1980).

Uczniowie Kazimierza Twardowskiego, choć poszli potem różnymi drogami, zachowali po swym mistrzu swoisty styl, uprawiając logikę, metodologię nauki, teorię poznania, czy problemy semantyki.

MAREK AMBROŹY

PRZYSZEDŁ NIE DLA SPRAWIEDLIWYCH, LECZ DLA GRZESZNIKÓW

Kiedy czytam Ewangelię, dochodzę do wniosku, że ludzie, którzy otaczali Chrystusa, byli tacy sami, jak ludzie dzisiejsi, że byli to po prostu ludzie wszystkich czasów. Większość przychodziła do Jezusa szukać odpowiedzi na pytania, które ich nurtowały, a więc były to kwestie na poziomie ich własnych trosk. Uczni w Prawie widzieli w Nim Mistrza, który naucza i stawiali Mu pytania dotyczące Prawa; często usiłowali Go nawet wystawić na próbę. Kiedy dwunastoletnie Dziecko zostało w świątyni, która była domem Jego Ojca — jak mówi Ewangelista — Jezus zadawał pytania uczniom, a oni byli zdumieni zarówno tymi pytaniami, jak też mądrością Jego odpowiedzi (zob. Łk 2, 42-47).

Wśród ludzi otaczających Chrystusa byli tacy, którzy oczekiwali wyzwolenia Izraela i przypuszczali, że jest On Mesjaszem. Synem Dawida, królem Izraela. Zgodnie z własnym rozumieniem mesjanizmu widzieli oni w Jezusie tego, który miał spełnić ich oczekiwania. Inni Żydzi dyskutowali z Jezusem na różne tematy. Niektórzy, jak saduceusze, nie wierzyli w

zmartwychwstanie ani nawet w istnienie aniołów. Faryzeusze natomiast wierzyli w zmartwychwstanie i realność aniołów. Jedni i drudzy dyskutowali o tych sprawach z Chrystusem. Chorzy, którzy byli świadkami dokonywanych przez Jezusa uzdrowień, szli do Niego szukając ulgi w cierpieniu.

Najgłębiej jednak poruszali serca Chrystusa ci, którzy uznawali się za grzeszników — jak Maria Magdalena — i zbliżali się do Niego z pokorną ufnością, że otrzymają przebaczenie swych win. Z myślą o nich Jezus, odpowiadając na zarzuty faryzeuszy, powiedział, że przyszedł nie dla sprawiedliwych, ale dla grzeszników, podobnie jak lekarza bardziej interesują chorego niż zdrowi. Pojęcia, jakie krążyły o Mesjaszu zgodnie z ówczesnymi sposobami myślenia, zaciążyły na świadomości samych apostołów, ograniczając ich zdolność rozumienia Chrystusa. Jezus wiele czasu poświęcił na to, żeby zmienić poglądy mesjańskie swoich uczniów, ale chyba nie udało Mu się tego osiągnąć dopóki żył na ziemi.

Dopiero po Zmartwychwstaniu Jezusa i

prawdopodobnie dzięki oświeceniu przez Ducha św. apostołowie zrozumieli wreszcie prawdziwą naturę Królestwa Bożego. Tak trudno było zrozumieć Jezusa!

W rozmowie z Nikodemem, który przyszedł do Jezusa nocą po kryjomu, padły Chrystusowe słowa: „Ty jesteś nauczycielem Izraela, a tego nie wiesz?” Następnie dodał: „Jeżeli wam mówię o tym co jest ziemskie, a nie wierzycie, to także uwierzycie temu, co wam powiem o sprawach niebieskich?” (J 3, 12). Istotnie większość ludzi nie zadawała Chrystusowi pytań dotyczących spraw niebieskich, ale wysuwała zagadnienia odpowiadające ich umysłowości i nasuwające się na tym etapie drogi do wiary, na którym się właśnie znajdowali. Apostołowie posunęli się tak daleko, jak tylko pozwalała im ich wiara. Kiedy Filip powiedział do Jezusa: „Pokaż nam Ojca, a to nam wystarczy”, były to może słowa naiwne, ale równocześnie głębsze niż nam się wydaje, ponieważ nikt nie wie, do jakiego stopnia apostołowie poznali człowieka — Jezusa, do którego tak bardzo byli przywiązani.

René Voillaume, *Wieczny i Żywy*

40-lecie kapłaństwa ks. docenta EDWARDA BAŁAKIERA



„Przystąpię do otłarza Bożego...”

dokończenie ze str. 3

myśmy ten obraz Boży zamazali, a może całkowicie zakryli. Stała się z nami rzecz podobna jak z filarami katedry, w której zgromadziliśmy się na wspólną modlitwę. Przez kilkadziesiąt lat nikt nie wiedział, że pod grubą warstwą tynku kryje się tak przepiękny ornament.

W krótkim rachunku sumienia przypomnijmy, czym zaciemniliśmy w sobie obraz Boga. Może przez całkowity brak zainteresowania się sprawami wiary, religii, myśli o Bogu? Miliony ludzi w świecie dzisiejszym zobojętniało w dziedzinie religijnej. Odeszło od tego czystego źródła natchnień, źródła wszelkich ideałów i źródła mocy dla pełnienia czynów szlachetnych, a nawet heroicznych.

A może zgrzeszyliśmy przez mowę szkodliwą i gorszącą? Może przez podłość jaką lub krzywdę wyrządzoną bliźniemu na jego majątku, na sławie, na jego dobrym imieniu? Wsłuchajmy się w głos własnego sumienia. Jak snop światła z potężnego reflektora oświeci ono wszystko, co w nas jest złe. Przepraszajmy naszego Stwórcę i Pana i wołajmy do Niego słowami Psalmu: „Stwórz, o Boże, we mnie serce czyste. I odnow we mnie moc ducha. Nie odrzucaj mnie od swego oblicza...” (Ps 51, 12).

W serdecznej skruszce, w żalu głębokim, w ten pokutny czas Adwentu, spowiadajmy się słowami: „Spowiadam się Bogu...”



Piękny wiersz okolicznościowy wygłasza w podziemiach kościoła Iza Toroniewicz

Obecni licznie przystąpili do sakramentu pokuty. Złożyli Jubilatowi najpiękniejszy podarunek: otworzyli serca na działanie łaski Bożego przebaczenia.

• • •

Podczas Mszy św., po Ewangelii, Słowo Boże wygłosił ks. biskup Tadeusz Majewski — Zwierzchnik Kościoła Polskokatolickiego. Jako podstawę do rozważań okolicznościowych przyjął słowa ap. Pawła z Listu do Hebrajczyków: „Przeto i my, mając około siebie tak wielki obłok świadków, złożywszy z siebie wszelki ciężar i grzech, który nas usidla, biegnijmy wytrwale w wyścigu, który jest przed nami. Patrząc na Jezusa, sprawcę i dokończyciela wiary...” (12, 1—3). „Przez czterdzieści lat ks. doc. Edward Bałakier sprawuje posługę kapłańską. Przez siedem lat w Kościele Rzymskokatolickim, a przez trzydzieści trzy lata w Kościele Polskokatolickim. Przez trzydzieści trzy lata dziesięcioletni Jubilat wiernie służy Kościołowi Polskokatolickiemu. Wygłosił setki kazań i nauk rekolekcyjnych. Jest wychowawcą wielu kapłanów, autorem setek artykułów, dziesiątek katechez, katechizmu i innych publikacji. Jest członkiem Rady Synodalnej i moim współpracownikiem. Wyczuwam, i zapewne słusznie, że w sumieniu naszego Jubilata może dziś zrodzić się pytanie — jak sprostać dalszym oczekiwaniom i nadziejom, które w nim Kościół pokłada? Jak nie zawieść zaufania? Cały nasz Kościół Polskokatolicki stoi wobec wielkich, różnorodnych trudności i pilnych zadań. Muszą je pełnić biskupi, kapłani i wszyscy wyznawcy. Jako chrześcijanie mamy dawać temu światu nieustanne świadectwo, wskazywać na Jezusa, prowadzić do Niego, być „solą ziemi”, „światłością świata”. To jest główna, właściwa i konkretna droga naszego Kościoła, a także naszego Księdza Jubilata. Składając Mu życzenia Bożego błogosławieństwa na dalsze lata pracy kapłańskiej, wyrażam równocześnie podziękowanie za życzliwą i owocną współpracę ze mną jako zwierzchnikiem Kościoła. Parafrazując słowa św. Pawła z cytowanego na wstępie Listu do Hebrajczyków, zwracam się z wezwaniem: „Drogi Jubilate, biegnij wytrwale w wyścigu, który jest przed Tobą, patrząc na Jezusa, sprawcę i dokończyciela wiary”.



Wierni i duchowni podczas uroczystej Mszy św.

* * *

Bezpośrednio po zakończeniu Mszy św., podczas której piękne śpiewy wykonał czterogłosowy chór katedralny pod batutą ks. dziekana Tomasza Wojtowicza, przemówił ks. biskup prof. dr Maksymilian Rode, który powiedział: „Przewielebny Księżę Docencie. Drogi Edwardzie. Czterdziestolecie kapłaństwa — piękny to jubileusz, jubileusz służby, służby, która nie ma w działalności ludzkiej i w naszym słownictwie żadnego odniesienia, bo służby nadprzyrodzonej i społecznej ludziom, bliźnim dla ich pożytku fizycznego, ziemskiego, ale przede wszystkim dla ich pożytku duchowego, nadprzyrodzonego, a dla chwały Bożej, a również dla pożytku naszej Ojczyzny i naszego Kościoła.

Znamy się już ponad dwadzieścia pięć lat. W pamięci mojej utrwaliłeś się jednak przede wszystkim z okresu pierwszych piętnastu — osiemnastu lat naszej znajomości i naszej współpracy. Pozostałeś też w mojej pamięci z tego okresu jako człowiek: twórczy, przyjazny, pogodny, zaangażowany, opowiadający się po stronie obiektywizmu.

Dzisiaj do gratulacji i życzeń, które otrzymujesz, pragnę dołączyć i swoje i to tak dla Ciebie, jak i dla Twojej Szanownej a bardzo miłej i sympatycznej Rodziny: Niech Was Bóg darzy zdrowiem, spokojem, pomyślnością.

Amice! Dominus tecum sit! Et ad multos multosque annos!”

* * *

A potem przemówił dostojny Gość — ks. prof. dr Wolde-
mar Gastpary, wieloletni rektor Chrześcijańskiej Akademii Teologicznej, który w podniosłych słowach złożył Jubilatowi serdeczne życzenia.

Na zakończenie uroczystości kościelnej zabrał głos sam Jubilat, który w sposób jasny i prosty, szczerzy i ujmujący podziękował za udział we Mszy św. i tym wszystkim, którzy dołożyli starań i trudów, aby ta uroczystość jubileuszowa wypadła tak okazale.

Życiorys czcigodnego Jubilata

Ks. doc. Edward Bałakier urodził się 21 stycznia 1919 r. w Racewie k. Sokółki. Świadczenie dojrzałości uzyskał w roku 1938 w Gimnazjum Stefana Bato-
rego we Lwowie. Studia filozoficzno-teologiczne odbywał w Wyższym Seminarium Duchownym OO. Franciszkanów we Lwowie i Krakowie w latach 1938—1943. Święcenia kapłańskie otrzymał z rąk arcyb. Stefana Sapiehy dnia 19 grudnia 1942 r. W roku 1955 uzyskuje w Chrześcijańskiej Akademii Teologicznej stopień magistra teologii, a w r. 1961 uzyskuje stopień doktora teologii. 31 grudnia 1971 roku został powołany przez Ministra Oświaty i Szkolnictwa Wyższego na stanowisko docenta w ChAT. Jest nauczycielem akademickim ChAT od chwili jej zorganizowania, tj. od listopada 1954 r. do chwili obecnej.

W Kościele Polskokatolickim pracuje w duszpa-
sterstwie od 1949 roku. Był proboszczem parafii polskokatolickiej w Wałbrzychu w latach 1949—1952, proboszczem parafii p.w. Miłosierdzia Bożego w Warszawie przy ul. Wilczej ponad 10 lat. Za zwierzchnictwa ks. biskupa prof. dr Maksymiliana Rodego pełnił odpowiedzialną funkcję sekretarza Rady Kościoła. Przez 15 lat był także sekretarzem w Zarządzie Głównym STPK. Pełnił także obowiązki redaktora miesięcznika filozoficzno-teologicznego „Posłannictwo”, od wielu zaś lat jest współredaktorem Tygodnika „Rodzina”. Jest człowiekiem pióra. Píše katechezy, setki artykułów przeważnie o tematyce z zakresu etyki, teologii moralnej, historii Kościoła Polskokatolickiego, propagując zawsze myśli religijne organizatora Kościoła śp. biskupa Franciszka Hodura. Nadal jest członkiem Rady Synodalnej i jej skarbnikiem.

AKTUALNOŚCI POLONIJNE

Polonijne spotkania pokoleń

Przed stu laty w 200 rocznicę odsieczy wiedeńskiej, w Starym Sączu, gdzie powracający z Wiednia Jan III Sobieski spotkał się z Marysieńką, wmurowano pamiątkową tablicę, bito w bęśny i palono 6 smolnych beczek. W tymże mieście w 300 rocznicę zwycięstwa pod Wiedniem Towarzystwo „Polonia” pragnie zorganizować centralne obchody jubileuszowe dla wszystkich Rodaków z zagranicy, którzy będą przebywali w kraju. Od 18 do 22 lipca 1983 roku odbędą się tam liczne imprezy, które przybliżą uczestnikom tę piękną kartę polskiej historii, a także samą postać króla Jana III Sobieskiego. Ale nie tylko. Organizatorzy pragnęliby, aby przyczyniły się one zarazem do umocnienia więzi Polonii z krajem ojczystym. Dlatego też młodemu pokoleniu Polaków z zagranicy stworzy się wiele okazji do nawiązania kontaktów z rówieśnikami z kraju. Zaprezentuje się im polską kulturę w jej różnorodnych formach: tradycje narodowe, obrzędy ludowe, zabytki. W pięknej scenarii doliny Popradu, w sercu Ziemi Nowosądeckiej, która przyciąga swą malowniczością i gościnnością — odbedzie się festyn radości, więzi Polonii z krajem i jego historią.

Program Polonijnego Spotkania Pokoleń — bo taką nazwę nadano centralnym uroczystościom w Starym Sączu — obejmuje takie imprezy, jak:

— historyczne widowisko plenerowo-kostiumowe „O Janie III Sobieskim i Marysieńce”, które będzie miało miejsce wieczorem, na Skarpie nad Dunajcem. W tej atrakcyjnej formie obejrzyć można będzie zdarzenia związane z postacią króla, jego przygotowa-

nia do odsieczy wiedeńskiej. Znani, cenieni aktorzy polscy, zespoły pieśni i tańca, konnica oraz efekty pirotechniczne i dźwiękowe uświetnią program widowiska;

— „Gospodarze Gościom” — koncert, w którym najlepsze zespoły regionalne Nowosądeckie zaprezentują swój kunszt artystyczny i oryginalne stroje;

— konkurs wiedzy o Polsce, jej historii, tradycjach i współczesności pt. „Znam kraj moich przodków”. Uwzględniona zostanie epoka króla Jana III;

— spotkanie przy ognisku dzieci i młodzieży polonijnej z polskimi harcerzami przebywającymi na obozach i biwakach. Wspólne gry i zabawy urozmaici poczęstunek prosto z leśnej i harcerskiej kuchni oraz wiele przyjemnych niespodzianek;

— konkurs plastyczny i fotograficzny pt. „Zachować w pamięci”. Młodzi twórcy-amatorzy utrwala podczas specjalnego pleneru piękne zakątki regionu. Miłośnicy malarstwa na szkle będą mieli okazję wypróbowania swych umiejętności pod kierunkiem ludowych mistrzów tej sztuki;

— zawody sportowe „Zdobynamy olimpijskie kółka”, adresowane do wszystkich miłośników lekkoatletyki: dzieci, młodzieży, dorosłych. Zmaganiom sportowym towarzyszyć będą popisy mistrzów szybownictwa nad stadionem;

— całodniową wycieczkę „Do tych pól malowanych”, czyli w najpiękniejsze zakątki regionu nowosądeckiego. Każda z 13 gmin przygotowuje własne atrakcje: po-



Królowa Marysieńka Sobieska



Król Jan III Sobieski

zawcze, kulturalne, artystyczne, kulinarne;

— dyskusję okrągłego stołu na temat upowszechniania historii, kultury oraz języka polskiego w środowiskach polonijnych;

— „Spotkanie przy wotrze” — w blasku ognisk, na leśnej polanie. Uczestnicy Polonijnego Spotkania Pokoleń będą mieli możliwość poznania się i zaprzyjaźnienia z gospodarzami województwa nowosądeckiego. Wieczór urozmaicą występy regionalnych zespołów pieśni i tańca, degustacja potraw oraz pieczenie barana.

Przed stu laty dla uczczenia 200 rocznicy zwycięstwa pod Wiedniem, w ścianę kościoła parafialnego w Starym Sączu wmurowano tablicę upamiętniającą to wydarzenie oraz późniejszy pobyt króla w mieście. W 300 rocznicę podobna tablica zostanie umieszczona w „Domu na Dolkach” na Starosądeckim Rynku. Utrwali ona pamięć o obchodach wiedeńskiej wiktorii, a zarazem o Polonijnym Spotkaniu Pokoleń — niepowtarzalnej okazji poznania się i zbliżenia trzech polonijnych generacji: dzieci, młodzieży i dorosłych, wspaniałej letniej przygodzie w Polsce.

Nagrody Floriana Znanieckiego

W siedzibie Towarzystwa „Polonia” w Warszawie wręczono nagrody im. Floriana Znanieckiego przyznane autorom najlepszych prac roku 1982, poszerzających stan wiedzy o procesach emigracyjnych z ziem polskich oraz o zbiorowościach polonijnych w różnych krajach świata.

W kategorii prac naukowych, ogłoszonych drukiem w języku polskim lub obcym, I nagrodę otrzymała Halina Janowska za książkę „Emigracja zarobkowa z Polski 1919—1939”. Ważnym novum tej pracy jest ukazanie przez autorkę struktury demograficznej i społeczno-zawodowej emigracji oraz rozważania na temat skutków ruchów migracyjnych dla kraju. Laureatem II nagrody został Tadeusz Silvert za książkę „Polacy w Paryżu”, którą — jak podkreśliło jury — cechuje nowatorstwo źródłowe. Praca dotyczy dziejów polskiego życia kulturalnego w stolicy Francji na przełomie XIX i XX w. III nagrodę w tej kate-

gorii przyznano Edwardowi Kolodziejowi, autorowi książki „Wychodźstwo zarobkowe z Polski 1918—1939. Studia nad polityką emigracyjną II Rzeczypospolitej”.

W kategorii innych prac naukowych w tym nie publikowanych, I nagrodę otrzymał Andrzej Pilch, Irena Paczyńska, Krzysztofa Michalewska, Barbara Michalik i Aleksander Klasa za książkę pt. „Materiały do bibliografii dziejów emigracji oraz skupisk polonijnych w Ameryce Północnej i Południowej w XIX i XX wieku”. Opracowanie i wydanie tych materiałów uznano za przedsięwzięcie bez precedensu w historii badań emigracji nie tylko Polaków, lecz Słowian w ogóle. II nagrodę przyznano Barbarze Leś za książkę pt. „Kościoły w procesie asymilacji Polonii amerykańskiej”, zaś III — Wiesławowi Śladkowskemu za książkę pt. „Emigracja polska we Francji w latach 1871—1918”.

Dyplomami honorowymi wyróżniono trzy prace magisterskie.



Stroje ludowe — tak chętnie widziane przez polonijnych gości



CYGANIE

Nazywano ich najbardziej tajemniczym narodem świata, ale nikt nigdy nie zadał sobie dość trudu, aby tę ich tajemniczość naprawdę zrozumieć. „Cygańska romantyka” tyle razy wystawiana w malarstwie, poezji, tańcu czy muzyce nigdy nie odzwierciedlała istoty szczególnej pozycji, jaką ta mniejszość etniczna, która w ciągu 6 stuleci przewędrowała długą drogę z Indii do Europy Środkowej i Zachodniej, zajęła w życiu codziennym narodów udzielających jej gościny. Cyganie zawsze znajdowali się na uboczu, poza wszelkimi systemami społecznymi i zawodowymi; zawsze traktowani byli jako coś gorszego. Dla umysłów ludzkich owa społeczność wędrowców była zawsze elementem aspołecznym, któremu łatwo było przypisać wszystko, co najgorsze — od koniokradztwa, aż po porwanie dzieci.

Wielkie znaczenie dla 10 milionów Cyganów, którzy żyją dziś w rozproszeniu wśród 30 narodów świata, miało przyjęcie ich w roku 1979 do ONZ jako członka konsultatywnego Rady Gospodarczej i Społecznej. Nieco wcześniej Podkomitet ONZ do Spraw Człowieka przyznał Cyganom status mniejszości narodowej.

„Tam gdzie spotkasz Cyganów — panuje wolność, tam gdzie ich nie ma — wolność umarła”. Prawdziwość tego porzekadła nigdy nie potwierdziła się z taką wyrazistością, jak w okresie Trzeciej Rzeszy.

W średniowieczu Cyganie byli wolni jak ptaki, co nie było wprawdzie najlepszym rodzajem egzystencji, ale państwo hitle-

rowskie zgotowało im o wiele gorszy los. Te czasy przypomina zachodniemiecki magazyn „Die Zeit”. Najpierw zmuszono ich do prowadzenia życia osiadłego. Następnie, w roku 1939, ogłoszono „dekret o stałym miejscu zamieszkania”, zgodnie z którym żadnemu Cyganowi nie wolno było opuścić swego miejsca pobytu.

W Urzędzie Policji Kryminalnej Rzeszy utworzono specjalny wydział — Centralę do Zwalczania Cygaństwa, która z biurokratyczną dokładnością opracowała w najdrobniejszych szczegółach przepisy dyskryminujące Cyganów. W obozach koncentracyjnych pierwsi Cyganie znaleźli się już w roku 1938. Wkrótce po tym, zaczęto zwalniać z Wehrmachtu i wojskowej służby pomocniczej tych Cyganów, którzy zostali powołani do służby z chwilą wybuchu wojny. Byli oni objęci dekretem o „profilaktycznym zwalczaniu przestępczości”, na mocy którego wszyscy mieli zostać poddani przymusowej sterylizacji. Liczni Cyganie z prowincji uciekali do Berlina w nadziei, że unikną tego, ale wpadali w ręce władz — nie mieli dokumentów ani kartek żywnościowych, a ponieważ nie mogli wykazać się stałym miejscem pracy — wywożono ich do obozów.

Kiedy w Prusach Wschodnich i Zachodnich przystępowano do formowania transportów Cyganów do Oświęcimia, gestapo organizowało na nich prawdziwe polowanie. Lokalne władze postępowały przy tym absolutnie według własnego widzimisię.

Często np. wywożono rodziców, zostawiając dzieci na łasce losu, bądź też przeciwnie — odbierano dzieci rodzicom.

Ofiarą „ostatecznego rozwiązania” kwestii cygańskiej padło pół miliona ludzi, w tym 80 tysięcy Cyganów z Europy Środkowej i większość spośród 40-tysięcznej wspólnoty Cyganów niemieckich. W ciągu jednej tylko nocy z 31 lipca na 1 sierpnia 1944 roku w komorach gazowych Oświęcimia zginęło około 5 tysięcy Cyganów. Ich pamięci poświęcony jest dziś pomnik, odsłonięty 1 sierpnia 1978 roku w Amsterdamie.

Na południowym odcinku frontu wschodniego na rozkaz Himmlera oddziały SS rozstrzelały tysiące Cyganów. Duża część przedstawicieli tego narodu uległa likwidacji na terenie okupowanej Polski, na Bałkanach, w Serbii; dziesiątki Cyganów padło od kul plutonów egzekucyjnych Wehrmachtu.

Cyganie nie mają pisanej, udokumentowanej historii, podobnie jak język ich nie istnieje w formie pisanej — od wieków przekazywany jest ustnie z pokolenia na pokolenie. Ich legendy wspominają, że są potomkami mieszkańców Atlantydy. W podaniach mówi się także niekiedy o kławie, jaka spadła na nich w przeszłości. To właśnie Cyganie mieli wykuć gwoździe, którymi Chrystusa przybito do krzyża, a jeden z ich przodków miał namówić Judasza do zdrady. Jak więc widać, tradycja cygańska przyswoiła sobie wiele z owych brzydkich pomówień, jakich nie żałowały temu narodowi społeczeństwa, wśród których żyją. Jednak w owym micie o kławie odzwierciedla się cały bezsens ich wędrowki: Cyganie nie mają już jasnej świadomości swego pochodzenia i nigdy nie udało im się założyć nowej ojczyzny.

Gruntowny znawca problemu cygańskiego — Wolf In der Maur — doszukuje się w owej fatalistycznej świadomości obarczonej kławą egzystencji całego szeregu oznak, świadczących o indyjskim pochodzeniu Cyganów. Pierwszą, jego zdaniem, jest świadomość kastowa społeczności cygańskiej. Przynależność do określonej kasty — podobnie jak u Hindusów — każde cygańskie dziecko przynosi z sobą na świat jako nieodwracalny los. Ponadto Cyganie tradycyjnie uprawiają zajęcia, które w Indiach zastrzeżone są wyłącznie dla przedstawicieli najniższych kast — taniec, muzykę, wodzenie niedźwiedzia. Ich zręczność w rzemiośle przejawia się szczególnie w obróbce metali. Specjalność ta pochodzi z Azji, gdzie jest tradycyjnie związana z określoną kastą. Cyganie zajmują się również handlem, ale handlują wyłącznie koźmi, uprząż i drogimi kamieniami.

In der Maur wysunął również przekonującą hipotezę dotyczącą związku między pochodzeniem Cyganów, a ich własną legendą o ciąży na nich kławie. Według tej hipotezy ojczyzną prymitywną i znajdującego się na dość niskim szczeblu cywilizacji ludu, leżąca w Indiach Zachodnich, została w VIII i IX w. naszej ery zagrożona przez napływające zewsząd grupy obcych ludów. Prosty i niewojowniczy lud, który jednak nie chciał — czy też nie mógł —

podporządkować się obcym, narzuconym porządkom, opuścił w końcu ojczyste strony — dobrowolnie lub pod przymusem. Takie historyczne wydarzenia zawsze pozostawiają po sobie w świadomości narodu wspomnienie nie-szczęścia, tragicznego fatum, a więc „kławy”. Niezdolni do szybkiej asymilacji w nowym środowisku, byli wciąż na nowo przepędzani, wypierani, rozpraszali się, zmniejszyła się ich liczebność i znaczenie, w coraz mniejszych grupkach posuwali się wciąż dalej na zachód — zgodnie z niepisanym prawem wszystkich wędrownych ludów szli zawsze za słońcem.

O tym, że początki historii Cyganów sięgają przypuszczalnie ich istnienia jako niskiej kasty hinduskiej, można wnioskować także na podstawie faktu, że tak łatwo i chętnie zaakceptowali przydzieloną im przez narody europejskie rolę pogardzonego marginesu. Takie pochodzenie wydaje się potwierdzać jeszcze jedna cecha, którą stanowi życie społeczności, gdzie — według powszechnie panujących pojęć — nie ma żadnego ładu i porządku, a które w rzeczywistości jest ściśle ograniczone różnymi tabu i prawami obyczajowymi.

George van Soest, który jako socjolog utrzymuje od 1971 r. kontakty z pociągami i osiadłymi Cyganami Cinti w RFN, zamieścił w swojej książce pt. „Cyganie między przesławowaniem a integracją” protokół z rozmowy przeprowadzonej z 21-letnią Cyganką Barbarą, zawierający m.in. fragment dotyczący pojęcia „baliczido” (nieczystość). Pewna stara Cyganka mówiła: „Wszystko co człowiek z siebie wydalą jest nieczyste i według naszych praw i obyczajów nie wolno tego dotykać. Miotła, którą zmiata się wszelkie śmieci, jest nieczysta. Jeśli na podłodze stoi garnek, musisz dobrze uważać, aby przechodząc nie dotknąć go spódnicą. Nigdy też nie opieraj się tyłem o stół, na którym stoi coś do jedzenia — musieliby wszystko zniszczyć... Kobieta nie może także rodzic w mieszkaniu lub w wozie Lekarz i położna są także „baliczido”. Jeśli Cygan musi wezwać położną do swej rodzajcej żony, to za nic na świecie nie weźmie do ręki torby z jej narzędziami. Najgorszą jednak rzeczą jest, gdy ktoś z naszych zada się z „kusz-polo”, t.j. człowiekiem, który zabija konie lub psy. Byłby wyklęty na całe życie. Taki Cygan musiałby opuścić swój tabor i zostałby wykluczony ze wspólnoty. Człowiek z naszego ludu nie weźmie do ust mięsa konia ani psa, nawet, gdyby miało go to uratować od śmierci głodowej”.

Hinduskiego pochodzenia wydaje się być także moralność małżeńska Cyganów, która zakazuje kobiecie po śmierci męża wychodzić ponownie za mąż. Oto tekst przysięgi, jaką wdowa musi złożyć na grobie swego męża: „Słyszysz Meżu. Bóg i wszyscy moi zmarli są świadkami, że zachowam ci wierność aż do ostatniego tchnienia! Niech duch Twój z wołą boską wraca zawsze do nas, towarzyszy mi i chroni w tym życiu. Spotkamy się w Panu”.

ELŻBIETA KUDLA

DOBRE WYCHOWANIE



Rodzice i dzieci — to dwa światy o rozbieżnych zainteresowaniach, różnych potrzebach i odmiennej psychice. Trzeba wielkiego wysiłku, by dorosły, do cna zaabsorbowany sprawami swojego świata, oderwał się od niego choćby na chwilę i nastawił swoją „dorosłą psychikę” na sprawy dzieciństwa. Jest to jednak konieczne. Oczekiwania człowieka wobec życia są tak różnorodne, jak różnorodne są jego kontakty ze światem. W swoim postępowaniu odtwarza on jednak nie tylko wzory akceptowane, lecz i te, które odrzuca. A tych wzorów dostarczają osoby w życiu dziecka znaczące: najpierw rodzice, później nauczyciele, przyjaciele, ludzie osiągający w jakiejś dziedzinie sukcesy.

Młody człowiek, w dzieciństwie odczuwający surowość lub oschłość swojego ojca, może później przejawiać podobne cechy w stosunkach ze swoimi rówieśnikami. Może potępiać zachowanie, którego nie aprobuje, lub też, jeśli zauważy, że postawy takie są akceptowane przez społeczeństwo — będzie pragnął upodobnić się do swoich przyjaciół.

Role społeczne i związane z nimi wymagania stanowią źródło reguł postępowania często wywołując u dziecka poczucie zagrożenia i nieufności wobec całego świata. Aby więc łatwiej było dziecku wdrożyć po tym nie najłatwiejszym świecie, rodzice ucząc malucha delikatności wobec

drugiego człowieka, wpajając mu istotny element osobistej kultury, jednocześnie wyposażają malca w cenną umiejętność współżycia, w dar zjednywania sobie życzliwości i sympatii innych.

Wpajanie w dzieci szeregu dobrych manier, odpowiedniego przystosowania się i zachowania w określonej sytuacji jest sprawą niezmiernie ważną. Kłopot polega tylko na prawidłowej odpowiedzi na pytanie — co to jest dobre wychowanie, dobre maniere? Czy jest to może przestarzały pogląd naszych dziadków, czy też zagadnienie niezmiernie ważne, dotyczące każdego cywilizowanego społeczeństwa?

Dobrze jest, gdy potrafimy w rozumowaniu dziecka zakodować pewne cechy. Jak np. po której stronie położyć widelec lub łyżkę, chłopcom — by w przejściu zawsze puszczała pierwsza kobieta. Współczesny tryb życia każdej rodziny, tak chaotyczny, nerwowy, pełen codziennych kłopotów i zmartwień zmusza wszystkich do stosowania prostej zasady — róbmy tak, aby nasze postępowanie było przyjemne dla wszystkich, estetyczne i ładne, a w znacznym stopniu umili życie nam i naszym najbliższym.

Dobre wychowanie, które mimo ciągłego pośpiechu powinniśmy wpajać naszym dzieciom, zawiera w sobie między innymi wiele prostych wyrażań, do których należą np. „dziękuję”, „proszę”, „przepraszam”. Są to wyrazy

z pozoru mało znaczące, jednak w rzeczywistości wypowiedziane ustami naszej pociechy przynoszą ukojenie, rozładowanie napięcia, wprowadzają atmosferę uprzejmości i życzliwości.

Młodzi ludzie często obecnie odrzucają tradycyjne formy „dobrego wychowania” manifestując pogardę dla dobrych manier. Czy można jednak żyć w świecie, który całkowicie pozbył się dobrych manier, pewnych nakazów i zakazów? Każdy punkt kodeksu dobrego wychowania (wpajany dziecku często tylko na podstawie intuicji opiekunów) spełnia w naszym życiu jakąś rolę i dlatego należy uwzględnić go w edukacji wychowawczej naszych dzieci. Uczymy je, by przy stole nie siedziały z szeroko rozłożonymi łokciami nie tylko dlatego, że tak właśnie jest estetycznie, lecz również by nie przeszkadzały innym. Podobnie rzecz się ma przy ziewaniu — nikomu nie sprawia przyjemności oglądanie wnętrza jamy ustnej. Przykłady te są niejako obowiązujące. Obok nich, jako czynność niekonieczną, lecz niezwykle sympatyczną, można wymienić całowanie w rękę kobietę, matkę. W jaki bowiem sposób, oprócz pomocy i uśmiechu, syn może wyrazić matce podziękowanie za trudy poniesione w wychowaniu go na dobrego człowieka. Stosunkowo niedawno polska prasa walczyła z „niehygieniczną cmokaniną” (zwłaszcza na łamach „Przekroju”), jednak na szczęście zwyczaj ten nie został całkowicie usunięty.

Do świadomości nawet małego dziecka szybko dochodzi przekonanie, że jego „grzeczne zachowanie” przynosi mu zapłatę w postaci życzliwości i uśmiechu najbliższych. Budzi się w nim wówczas zadowolenie z siebie, wiara we własne siły i możliwości. Dzięki temu pociecha sama znacznie zauważa w sobie możliwość wrażliwości na pewne formy zachowania i jego przejawy.

Już od okresu niemowlęctwa dziecko uczy się pewnej postawy i zachowań wobec innych ludzi. Przykłady takie czerpie stawiając sobie za wzór własnych rodziców. W tym momencie można przytoczyć bardzo często występujące wśród dzieci zjawisko — zwykle nagle (i to koniecznie!) mają nam coś do powiedzenia, nie zwracając uwagi na to, czy w tym właśnie momencie nie przerwa toczącej się już rozmowy. Można im wpoić zasadę, iż mówić może tylko jedna osoba, a nie wszyscy naraz. Szybko dostosują się do tego, lecz pod pewnym warunkiem — że zawsze beda miały prawo być wysłuchane, gdy przwidzie kolej na ich mówienie i nigdy nie usłyszą: „Jestem zajęta. Nie zwracaj mi głowy”. Uczenie się sztuki dyskusowania i słuchania nie

będzie dla nich wówczas stanowić ogromnego problemu i szybko ją osiągną.

Wrażliwości na potrzeby innych ludzi i respektowania ich praw dziecko uczy się najczęściej od rodziców. Wielu spośród nas wymaga, by mały człowieczek pukał do pokoju, w którym znajdujemy się, odpoczywamy, bądź też pracujemy. Nigdy nie uda się tego osiągnąć, jeśli nie będziemy skłonni postępować dokładnie w ten sam sposób. Wykorzystując doświadczenie i starszy wiek nie powinniśmy omijać zasady, którą pragniemy wpoić naszemu dziecku. Jeśli zamknie ono za sobą drzwi własnego pokoju, pragniemy w ciszy, spokoju i skupieniu budować choćby domek z klocków lub ułożyć w wózku lalki — i my także mamy wówczas obowiązek zapukania i pytania, czy możemy wejść. Takie postępowanie szybko zakoduje na stałe w umyśle dziecka szacunek dla zachowania potrzeb drugiego człowieka.

Jedne dzieci łatwo i bez oporów przyswajają sobie formy właściwego zachowania, innym zaś przychodzi to z trudem. Pierwszej grupie wystarczy więc tylko przypomnienie lub pomoc w wybrnięciu z trudnej sytuacji, dla drugiej natomiast — konieczne jest większe zaangażowanie się opiekunów.

Zdarza się, że rodzice w pośpiechu codziennych prac przeoczyć mogą w edukacji dziecka, lub też napotykać na agresywne odrzucenie przez niego wszelkich narzuconych mu obowiązujących norm, choć może to być niczym innym, jak tylko zwykłym buntem. Co wówczas robić? Jak postępować? Takt opiekunów oraz staranne przestrzeganie zasad wymaganych nie tylko od dziecka, ale także od siebie wzajemnie, może złagodzić napięcie i w efekcie doprowadzić do poddania się małego „buntownika” i akceptacji obowiązujących zasad i norm. Jest to bowiem jedynie tkwiąca z natury w maluchu przekora, która nakazuje mu odrzucać, lub przynajmniej spróbować nie dać się podporządkować tym normom. Bywa przy tym i tak, że dzieci czują się zagubione, jakby traciły coś cennego, coś, co już nie powróci. Nie możemy dać im tego odczuć, pozwolić by zubożały lub odwracały się „plecami do życia” i negowały wszelkie obowiązujące normy panujące w naszym społeczeństwie.

opr. M.Sz.



Podejrzane przez okno

Mroźny luty — jak co roku — nie szczędzi nam swoich uroków. Bielusieńki, skrzący śnieg aż błękitnie od słońca, ale czerwone noski i uszy przypominają, że z mrozem nie ma żartów. Wszystkie okoliczne pagórki w naszym osiedlu przypominają mrowiska — aż się tam roi od rozkrzyczanej dzieciarni, zjeżdżającej z tych niewielkich wypukłości terenu na czym się tylko da. Jeżeli brakuje sanek i nart — to... własne siedzenie też niektórym służy właśnie do zjeżdżania! Różnokolorowe skafandry, kombinezony, czapki i szaliki tworzą na tej ogromnej platformie śnieżnej bieli ogromną, popłataną gamę wszystkich możliwych barw tęczy — aż oczy boją, gdy się na to wszystko patrzy z wyżyn swojego okna.

Wśród bawiących się dzieci jest też Romek — mój mały sąsiad z przeciwka. Ma dziesięć lat, wesoly, zadarty nos, bystre niebieskie oczy i jasne, niesforne kędziory, wciąż wymykające się spod czerwonej czapki-kominiarki. Stąd, z mojego punktu obserwacyjnego, nie widać wprawdzie jego łobuzerskiego uśmiechu, ale za to doskonale wybijają się ponad inne jego radosny pogodny śmiech. Poznaję też wśród wielu innych jego sylwetkę — granatowy kombinezon jest wprawdzie trochę opięty, ale za to ułatwia temu wysportowanemu chłopcu znaczną swobodę ruchów. Pojawia się i błyskawicznie znika, jak na przyspieszonym filmie — i coś mi się wydaje, że to właśnie on wodzi rej wśród tej rozkrzyczanej gromadki, choć są w niej i starsze od niego dzieci.

Zabawa na śniegu trwa nieprzerwanie aż do pory obiadowej — kiedy słońce niepostrzeżenie, cicho, ale szybko kryje się za zgranatowiałymi chmurami, a szary, zimowy zmierzch kładzie się długimi cieniami na osiedlowych wieżowcach. Milknie śmiech dzieciarni, słychać tylko pojedyncze nawoływania się i — gdzieś — ujadanie rozbawionego psiaka.

Po chwili słyszę na klatce schodowej szybkie kroki Romka, wbiegającego po dwa lub trzy stopnie na górę. Tup, tup —

odgłos kroków przybliży się, cichnie na naszym piętrze, za chwilę słychać trzasknięcie drzwiami i dźwięczny, choć przytłumiony, głos, żywo coś opowiadający.

„Ten chłopak chyba nigdy się nie męczy” — myślę z podziwem, zastanawiając się, jak on ze wszystkim sobie radzi. Szkoła, pomoc w domu przy codziennej krzątaniu, zajęcia plastyczne w pobliskim Domu Kultury, a do tego wszystkiego zawsze znajduje czas, by pomóc mnie lub wyręczyć w zakupach inną sąsiadkę. Nie brak go również na placu gier i zabaw — tam zwykle jest najzwyczajniej, najbardziej pomysłowy, i chyba dlatego wszystkie dzieciaki wprost za nim przepadają. Co za chłopak!

Zajrzyjmy na chwilę do tego chłopca, popatrzmy, co będzie robił — może jednak nudzi się w domu, wieczorem, gdy za oknem już ciemno, zimno i mroźno...

Jest już po obiedzie, mały pokój Romka rozjaśnia nieduża lampka, stojąca na jasnym biurczku. Rozwierzona czupryna chłopca pochyła się właśnie nad rozłożoną mapą, a niewielki globusik obraca się wolno, przekręcany szczupłymi palcami właściciela. Właśnie w tej chwili Romek jest zupełnie gdzie indziej — nie czuje zimnego powiewu od okna, nie widzi coraz większych płatków znów padającego śniegu. Romek marzy... Po śnieżnych szaleństwach teraz przemierza gorące piaski Sahary, pilotuje wycieczkę w cyprysowe gaje i miękkim ruchem zanurza się w błękitno-szmaragdowej toni Oceanu Spokojnego...

Nadzwyczajna rzecz — marzenie...

Bywa czasem jak olśnienie,

i przenosi nas, szczęśliwe,

w świat — gdzie wszystko jest

możliwe...

Zwykłym, małym aeroplanem

mkniemy ponad oceanem

coraz wyżej, wprost do słońca

oraz różnych gwiazd tysiąca...

*I — dla żartu, dla zabawy,
przestawiamy Kosmos cały!
Orion, Syriusz — co za gratka
dla zwykłego nastolatka!*

*Powrót zwolna szykujemy
i — pod palmą lądujemy,
by po chwili — dla ochłody —
do błękitnej wskoczyć wody!*

*Gwaltu, rety! Krokodyle!
Więc robimy krzyku tyle,
że biedaki, przestraszone,
uszy zatykają ogonem!*

*Po kąpiel, już na trawie,
rozglądamy się ciekawie;
zaraz też się przyłączamy
do kupieckiej karawany...*

*Poprzez step i bezmiar piasku
Przez noc całą, aż do brzasku,
Niczym zwykli Beduini
tak pędzimy po pustyni...*

*Aż do miasta, gdzie meczety,
w słońcu błyszczą minarety,
Tłum się roi wiernych mężów
oraz — zaklinaczy węzów...*

*Tęskna jakaś gra muzyka,
wąż się wiję znad koszyka,
a zaklinacz w swym turbanie
gra na flecie nieprzerwanie...*

Ej, cudenka na tym świecie!

I Wy o tym też już wiecie?

*Bo ja — spędzam czas ciekawie
właśnie na tej swej zabawie!*

Teraz już wszystko wiemy! Romek dla kontrastu mroźnej zimy, wieczory spędza zupełnie w innym klimacie, innym kraju, przebywając z innymi ludźmi... Przyznał się też, że w lecie — kiedy upał wprost leje się z nieba, „wędruje” w zupełnie odwrotnym kierunku — wówczas udaje się na Biegun Północny, gdzie wśród lodów i mrozów arktycznych czuje się zupełnie dobrze... Czy jest to skuteczna metoda na monotonię i wieczorne „zabicie” czasu — nie wiem, spróbujcie sami. Romek podobno nigdy się nie nudzi, czy Wy też możecie tak powiedzieć o sobie?

E. LORENC

Z zagadnień etyki chrześcijańskiej

Czyny ludzkie

Nie można sobie wyobrazić życia bez zaspokojenia naturalnych potrzeb naszego organizmu. Do takich potrzeb należy przyjmowanie pokarmów i napojów, zachowanie higieny, sen itp. Ktoś obliczył, że normalny człowiek spędza jedną trzecią swego życia na spaniu, siedem lat na jedzeniu i piciu, oczywiście w ciągu siedemdziesięcioletniego okresu. Gdyby jednak ktoś próbował obejść się bez snu, wydałby na siebie wyrok śmierci. Mimo, że czyny te są tak niezbędne dla życia i zdrowia, jeśli nie spełniają pewnych warunków, nie mogą być nazwane czynami ludzkimi. Kręciś młody czytelniku głową z niedowierzaniem? A jednak napisałem prawdę. Czynności wymienione wyżej należą do sfery potrzeb fizjologicznych, zmysłowych i jako takie są wspólne całej ożywionej materii, a zwłaszcza

PORADY

Lekarskie

Bank zdrowia

Lekarz rozpoznaje chorobę i pomaga ją zwalczyć choremu, ale uzdrawia człowieka... natura. Na przykład człowiek łamie nogę, chirurg składa złamanie, unieruchamia nogę w gipsie, a więc wspiera proces zrastania się kości. Jeśli jednak komórkom tkanki kostnej w nodze chorego zabraknie sił witalnych, koniecznych do zagojenia się kości w miejscu złamania, noga nie zrósł się.

Na bardzo skomplikowaną budowę ludzkiego organizmu składa się około 30 milionów komórek. Każda z tych komórek ma w organizmie swoją określoną rolę. Czas trwania życia poszczególnych komórek jest bardzo różny. Na przykład komórki czerwonych ciałek krwi żyją około 100 dni, a białych ciałek krwi zaledwie kilka dni. Gdy jedne komórki obumierają, na ich miejsce powstają nowe. A więc przez całe życie człowieka komórki jego organizmu stale się odnawiają. Wszelkie zakłócenia w tym procesie oznaczają chorobę organizmu, a zniszczenie pewnych

czym zwierzętom. A przecież trudno czynność zwierzęcą określać jako moralną lub niemoralną. By jakiś czyn mógł zyskać miano ludzkiego, musi wypływać z rozumu i woli lub też przez te władze być kontrolowany. Rozumieli to nasi przodkowie, skoro ułożyli takie porzekadło: „Nie po toś żyw, abyś jadł, ale jesz, abyś żył”. By te prozaiczne, wspólne z całą żywą przyrodą czyny zyskały mobilitację i miano czynów ludzkich, a nawet czynów zasługujących na życie wieczne, musi je uprzedzić lub im towarzyszyć właściwa intencja. Byśmy jako dzieci Boże nie zmarnowali ani jednej chwili życia, lecz przez każdą godzinę i minutę, przez każde drganie serca i oddech, przez każdy kęs przyjętego chleba i łyk napoju zbliżali się do swego celu — wiecznej szczęśliwości. Święty Paweł zachęca: „Czy jecie czy pijecie, czy cokolwiek innego czynicie, wszystko na większą chwałę Boga czyńcie!”

W interesie każdego z nas jest byśmy wykonywali możliwie największą ilość czynów ludzkich, gdyż tylko one stanowią o naszej godności. Walor naszych czynów jako ludzkich, czyli moralnych — zasługujących na nagrodę lub karę może wzrastać lub maleć. Od czego to zależy?

Im pełniejsze jest nasze poznanie, im większą gorliwość okazujemy w pełnieniu naszych obo-

niezbędnych do życia komórek pociąga za sobą śmierć.

Poznanie tej tajemnicy życia skierowało wysiłki uczonych na drogę szukania środków umożliwiających szybką wymianę i odnowę zużytych komórek i pobudzanie powstawania nowych na miejsce obumarłych. Jednym z sukcesów na tej drodze była praca rosyjskiego uczonego prof. Filatowa. W oparciu o nią rozwinięta się metoda regenerowania tkanek ludzkich za pomocą tak zwanych biostymulatorów, które wprowadzone do organizmu działają jako nowe bodźce wspomagające zdolności regeneracyjne komórek ustroju.

W wyniku obserwacji i doświadczeń uczeni doszli do wniosku, że organizm ludzki może w zasadzie pokonać większość chorób nawet bez pomocy środków farmakologicznych. Organizm rozporządza bowiem takimi mechanizmami dynamicznymi, które potrafią przywrócić mu równowagę zachwianą przez chorobę. Zastosowanie biostymulatorów wzmacnia te zdolności organizmu, które i tak bez naszego udziału zachodzą w organizmie. Korzystne działanie biostymulatorów polega na uaktywnieniu procesów energetycznych wzmacniających organizm.

Ta metoda terapii zyskuje w świecie coraz więcej zwolenników. Stosuje się ją w leczeniu chorób neurologicznych, skórnych, choroby reumatycznej, chorób żołądka i dwunastnicy. Terapia

wiązków i im wolniej czy raczej swobodniej, bez niczyjego nacisku spełniamy czyn, tym jest on bardziej nasz, a więc ludzki i bardziej zasługujący. I przeciwnie, jeśli coś utrudnia poznanie, lub usiłuje narzucić naszej woli takie a nie inne działanie, tym to działanie będzie miało mniejszą wartość moralną. Działanie ludzkie nosi też miano czynów wolnych albo dobrowolnych, w odróżnieniu od czynów wymuszonych, wykonanych bez świadomości, lub bez zgody woli. Tylko czyny wolne mogą być dobre lub złe. Czyny niedobrowolne są obojętne moralnie i nie zasługują ani na nagrodę, ani na karę. Wszystko co robi człowiek śpiący lub pijany, czyli w stanie wyłączanego rozumu należy do sfery czynów niedobrowolnych, obojętnych moralnie.

Czyny wolne dzielimy na wewnętrzne i zewnętrzne. Wewnętrzne powstają w duszy — są nimi myśli i pragnienia. Czyny zewnętrzne wola nakazuje wykonać zmysłowym władzom ludzkim. Podział czynów ludzkich na dobre i złe, czyli po prostu na moralne lub niemoralne, to główny przedmiot ocen etycznych.

Etyka katolicka uczy, że każdy dobry czyn może być dobry w sposób naturalny lub nadnaturalny. Jeśli człowiek w chwili wykonywania czynu dobrego jest przyjacielem Boga, czyli żyje w łasce uświęcającej, to czyn ten nosi znamiona nadprzyrodzone,

ta ma też zastosowanie w geriatrici. Biostymulatory stosuje się w postaci pastylek lub wstrzyknięć — oczywiście tylko ze wskazaniem lekarza.

Czy wiecie że...

Prof. Paul Lester Gronstein, wygłaszając swoje przemówienie w dniu otwarcia zjazdu urologów w Pradze, powiedział: „Cudy medycyny? Nie znam żadnych. Nawet największy cud przez nas dokonany jest tylko śmieszna łatanina! Istnieją tylko prawdziwe cudy natury! Jednym z największych jest nerka. Waży ona nie więcej niż 120 do 150 gramów i podobna jest do dużego ziarna fasoli. Jednak te dwa śmieszne ziarna „fasoli”, które posiada każdy z nas, wykazują niezwykłą wydajność w pracy”.

I rzeczywiście — nerki są niezwykłym narządem. Nieprzerwanym strumieniem dzień i noc tłoczy nasze serce krew przez nerki. Ich najważniejszym bowiem zadaniem jest filtrowanie krwi i zawartych w niej cieczy ustrojowych. Muszą one wydalić wszystkie trujące ciała, które gromadzą się we krwi w procesie przemiany materii. Tę pracę wykonują za pomocą układu filtrów, który składa się z miliona mikroskopijnych, tak zwanych „glomeruli”. Gdyby położyć te kłębuszki jeden obok drugiego, zajęłyby one przestrzeń od 80 do 100 km! W ciągu 24 godzin przez nasz układ filtracyjny przepływa 1800 litrów!

czyli takie, przez które zasługujemy na życie i chwałę wieczną. Czyn dobry wykonany przez kogoś, kto żyje w grzechu jest czynem naturalnie dobrym i daje wykonawcy jedynie dobra doczesne, takie jak majątek, zdrowie, szacunek u społeczeństwa itp. Uczynki wykonane w stanie grzechu ciężkiego zwiemy również martwymi, gdyż są jakby owocami „uschłej gałęzi”, oderwanej od drzewa nadprzyrodzonego, którym jest Chrystus.

Dopiero po ponownym wszczęciu w ciało mistyczne Zbawiciela przez żal i pokutę wracają dawniej zyskane nadprzyrodzone zasługi i nabywamy zdolności wykonywania czynów nowych o wartości nadnaturalnej. Z tego widzimy jak niezmiernie ważna jest rzeczą troska o życie nadprzyrodzone duszy i powstawania po każdym upadku.

Za jakie czyny człowiek odpowiada?

Jako istoty rozumne i wolne odpowiadamy za czyny wewnętrzne i zewnętrzne, a także za opuszczenie dobrego i za skutki swoich czynów, jeżeli się je przewiduje. Ponosimy również odpowiedzialność za czyny cudze, jeśli świadomie lub dobrowolnie wpływaliśmy na innych sprawców. W tej materii najczęściej liczy się przykład i nauki rodziców i wychowawców.

Ks. ALEKSANDER BIELEC

Do odpadów, usuwanych przez nerki, należy przede wszystkim mocznik, kreatynina, kwas moczowy i sól kuchenna. Nerki kierują odpady poprzez moczowody do pęcherza moczowego, skąd wydalane są jako moczu.

Nasze nerki mają do spełnienia jeszcze drugie zadanie, a mianowicie utrzymanie na tym samym poziomie gospodarki wodnej naszego organizmu, niezależnie od tego ile płynów wypijemy lub przyjmujemy w spożytych pokarmach.

Wreszcie nasze nerki spełniają jeszcze trzecie zadanie. Do życia potrzebujemy pewnej określonej ilości substancji chemicznych. Do nich należą elektrolity — jak potas, wapń, sód, magnez. Nadmiar tych ciał lub ich niedobór uszkadza nasze narządy. O ile mamy czegoś za dużo, to nerki wyfiltrują ten nadmiar z krwi. O ile mamy za mało — to wyrównają ten niedobór. W ten sposób nerki decydują o zdrowiu i chorobie, o życiu i śmierci. Natura jest świadoma tych zadań: gdy czynność jednej nerki zanika wskutek choroby, to druga może przejąć w pełni jej funkcję. Każdy człowiek, u którego obie nerki zostaną zniszczone, jest nieuchronnie skazany na śmierć lub — w najlepszym razie — na ciężkie kalectwo z całkowitym uzależnieniem się od stałego przeprowadzenia dializy przy pomocy aparatu, zwanego „sztuczną nerką”.

A.M.



Rozmowy z Czytelnikami

W listach nadsyłanych do naszej Redakcji zwracają się Czytelnicy nie tylko z trudnościami osobistymi, ale przedstawiają również problemy natury bardziej ogólnej. Jednym z nich jest p. Mieczysław K. z Nowego Sącza, który pisze:

„Jestem uczniem III klasy szkoły średniej i od pewnego czasu czytelnikiem Waszego czasopisma. Podczas lektury „Rodziny”, duże wrażenie wywarła na mnie rubryka „Rozmowy z Czytelnikami”, za pośrednictwem której — w sposób bezpośredni i serdeczny — odpowiada Duszpasterz na przedstawione mu trudności. A ponieważ mam problem, którego sam nie mogę rozwiązać, postanowiłem z tej formy skorzystać. Przechodzę więc do rzeczy.

Otóż — jak powszechnie wiadomo ze środków masowego przekazu — dnia 10 października 1982 r. papież Jan Paweł II ogłosił świętym zakonnika franciszkańskiego, o. Maksymiliana Kolbe. Motywem takiej decyzji zwierzchnika Kościoła Rzymskokatolickiego był fakt, że o. Kol-

be jako więzień obozu koncentracyjnego w Oświęcimiu, dobrowolnie poświęcił swe życie dla ratowania innego współwięźnia. Jest to — jak mi wiadomo — pierwszy i jedyny dotychczas wypadek kanonizacji ofiary hitlerowskiego ludobójstwa.

Nie chcę negować bohaterstwa o. Maksymiliana. Jestem jednak przekonany, że w czasie II wojny światowej podobnych bohaterów były miliony. Bowiern na wszystkich frontach, w pacyfikacjach ulicznych i wioskowych, oraz w więzieniach i obozach koncentracyjnych oddało życie za braci 6.028.000 Polaków. A przecież i w innych krajach ginęły w tym okresie miliony ludzi. Wydaje mi się również, że podobnych bohaterów, którzy jak o. Kolbe dobrowolnie wybrali śmierć dla ratowania innych ludzi, było znacznie więcej. Jednak o żadnym z nich nie było wzmianki podczas uroczystości kanonizacyjnych. Nie mogę zrozumieć, dlaczego tak się stało? Przecież ludzie ci zasłużyli chyba na to, by postawiono ich w jednym szeregu z o. Maksymilianem Kolbe, by wraz z nim wyniesiono ich na ołtarze. Czy gdzieś kiedyś do tego?

Proszę również o informację, jak na ten problem zapatruje się Kościół Polskokatolicki i jaka jest Wasza w tym względzie praktyka?”

Drogi Czytelniku! Jak to z listu wynika, potrafisz szerzej patrzeć na świat i właściwie oceniać zachodzące w nim wydarzenia. Dajesz przez to dowód swej dojrzałości umysłowej. Chyba jednak nie tylko Ty masz trudności w tym względzie. Jestem bowiem głęboko przekonany, że podobnie myśli bardzo wielu ludzi wierzących.

Ludzie oddający swe życie za Naród i Ojczyznę, składali największą ofiarę. Byli bowiem wśród nich ludzie bardzo jeszcze młodzi — rozpoczynający dopiero życie, byli inni — którzy osierocili przez to własne rodziny. Toteż umierając za to, by inni mogli żyć, dawali dowód swej największej względem nich, heroicznej miłości. Zaś według zapewnienia Zbawiciela, „większej miłości nikt nie ma nad tę, jak gdy kto życie swoje kładzie za przyjaciół swoich” (J 15, 13). Taką właśnie miłością umiłował nas Chrystus, który oddał życie swoje, „aby każdy, kto weń wierzy, nie zginął, ale miał żywot wieczny” (J 3, 16),

Masz więc rację twierdząc, że podobnych bohaterów z czasów II wojny można by naliczyć bardzo wielu. Jak sam wspominałeś, ginęli oni na polach walk, obficie skrapiali swą krwią polską ziemię podczas pacyfikacji w miastach i wsiach, ich prochy mieszały się z błotem obozów koncentracyjnych. Wszyscy więc zasłużyli sobie na miano świętych, gdyż złożyli w ofierze to co mieli najcenniejszego — życie własne, by inni mogli żyć.

Bardzo często po prostu nie wiemy o bohaterstwie tych ludzi. Dochowały się jednak szczegóły dotyczące śmierci przynajmniej niektórych z nich. Należy do nich opiekun i wychowawca dr Janusz Korczak, który mając możliwość ratowania życia, wraz z wychowankami, prowadzonego przez siebie Domu Dziecka, dobrowolnie poszedł do obozu zagłady. Kiedy indziej, ścigany przez Niemców polski partyzant wybrał ucieczkę odsłoniętym terenem, by nie narazić na niebezpieczeństwo kilkorga dzieci. Sam

jednak zginął od kul hitlerowców. Takim bohaterem — jak relacjonuje więźniarka obozu koncentracyjnego w Szebniach koło Jasła, p. Danuta Olszewska-Konieczny (D. Weimer „W Szebniach jak w Oświęcimiu” — Dziennik Polski nr 188 z dnia 29.X.—1.XI.1982). — był Mieczysław Gadzina, młody kolejarz z Nowego Sącza. Późną jesienią 1943 r. uciekł z obozu jeden z współwięźniów. W odwet za to numery trzech innych wywołano na śmierć. Jednym z nich był ojciec kilkorga dzieci, przebywający aktualnie w szpitalu więziennym. Wówczas nowosądecki kolejarz wystąpił z szeregu i dobrowolnie poszedł za niego na rozstrzelanie.

Nie potrafię jednak Ci odpowiedzieć, dlaczego podczas uroczystości kanonizacyjnych o. Maksymiliana Kolbe, miliony ofiar II wojny światowej pominięto milczeniem. Być może — gdy zdecydowanie domagać się tego będą ludzie wierzący — również i o nich kiedyś usłyszymy.

Kościół Polskokatolicki otacza wszystkich poległych za Ojczyznę wielką czcią. Dowodem tego jest fakt, że w wielu świątyniach polskokatolickich złożone są prochy męczenników z obozów zagłady. Ustanowił też nasz Kościół — obchodzone 1 września — święto Męczenników Narodu Polskiego. Ich wstawiennictwa przed Bogiem, łącznie z apostołami i wszystkimi świętymi, wzywamy w kanonie każdej Mszy świętej.

Zyczę Ci wielu światłych myśli oraz łączę serdeczne pozdrowienia w Jezusie Chrystusie.

DUSZPASTERZ

dokończenie ze str. 9

Po Mszy św. odbyło się też spotkanie w sali parafialnej. Tutaj obdarowano Jubilata dziesiątkami kwiatów, skromnymi prezentami i morzem życzeń. Były życzenia od Rady Parafialnej Parafii Katedralnej, Chóru Katedralnego, Zarządu Głównego STPK, Oddziału Warszawskiego STPK, Klubu Seniora istniejącego przy parafii, przyjaciół i znajomych.

Na tę okoliczność pani Elżbieta Lorenc ułożyła specjalnie wiersz, który wygłosiła młodsza przedstawicielka parafii Iza Toroniewicz. Popłynęły życzenia wierszem pisane:

*Dzwony biją dziś na wiwat:
Niech nam żyje ksiądz Jubilat,
Który już czterdzieści lat
Boży nam wskazuje świat.*

*Choć włos srebrny już na głowie
Serce wciąż niezmiennie młode.
Kipi życiem, wrze radością,
Ciągłej pracy gotowością.*

*Boską wielkość z werwą głosi,
Modli za nas się i prosi,
O lask Ducha strumień wszelki
I dla małych i dla wielkich.*

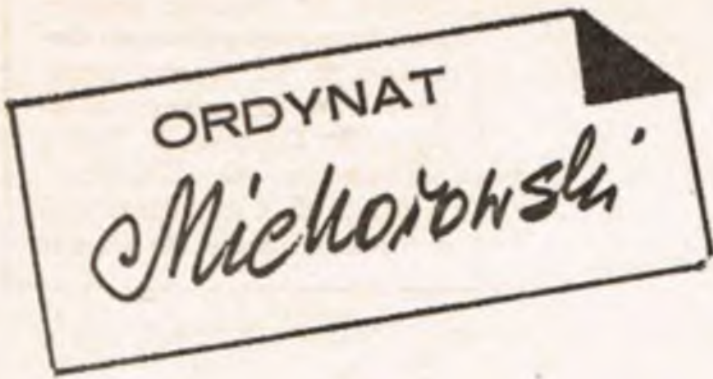
*Niech więc żyje w dobrym zdrowiu
Mając uśmiech w pogotowiu.
Dalszych sto i dzieści lat!
Nasz kochany Jubilat!*

W sali panowała atmosfera serdeczności i przyjaźni. Był też specjalny program artystyczny w wykonaniu artystów z Opery Warszawskiej. Czas szybko mijał. Szybko upłynęło czterdzieści lat w pracy kapłańskiej. I uroczystości jubileuszowe dobiegły końca. Pozostały jednak życzenia i gorące serca tych, którzy otaczali i nadal otaczają księdza docenta Edwarda Bałakiera. Wszyscy zgodnie życzą: — Ad multos annos!

Ks. TOMASZ WÓJTOWICZ

rodzina
TYGODNIK KATOLICKI

Wydawca: Spoleczne Towarzystwo Polskich Katolików, Zakład Wydawniczy „Odrodzenie”. Redaguje Kolegium.
Adres redakcji i administracji: ul. Kredytowa 4, 00-042 Warszawa. Telefon redakcji: 27-85-42 i 27-03-33; administracji: 27-84-33.
Wpłaty na prenumeratę nie przyjmujemy. Prenumeratę na kraj przyjmują Oddziały RSW „Prasa-Książka-Ruch” oraz urzędy pocztowe i doręczyciele w terminach: — do dnia 25 listopada na I kwartał i I półrocze roku następnego i cały rok następnny; — do 10 marca na II kwartał roku bieżącego; — do 10 czerwca na III kwartał i II półrocze roku bieżącego; — do 10 września na IV kwartał roku bieżącego. Cena prenumeraty: kwartalnie 136 zł, półrocze 312, roczna na 1983 r. — 424 zł. Jednostki gospodarki uspołecznionej, instytucje i wszelkiego rodzaju zakłady pracy zamawiają prenumeratę w miejscowych Oddziałach RSW „Prasa-Książka-Ruch”, w miejscowościach zaś, w których nie ma Oddziałów RSW — w urzędach pocztowych i u doręczycieli. Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę przyjmuje RSW „Prasa-Książka-Ruch”, Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw, ul. Towarowa 28, 00-958 Warszawa, konto NBP nr 1133-201043-139-11. Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę jest również od prenumeraty krajowej o 50% dla zleceniodawców indywidualnych i o 100% dla zleceniodawców instytucji i zakładów pracy.
Druk PZGraf, ul. Smolna 10. Zam. 24. M-94.



Patrzyła jak obłąkana, bo wzrok jej gasł, tępał, łagodniał. Podsunęła się bliżej obrazu. Oczy jej zmigły w wyrazie. Pozostał w nich tylko smutek bezdenny.

Szept jej warg wionął cichutko.
— On twój... Zawsze twój!
I Lucja zwiesiła głowę.
Światło ją opromieniało. Z portretu spływała na nią słodycz — tamtej. Postać schodziła do niej ze smugą gwiazd w oczach.
Wtem Lucja uczuła przerażenie. Do sali zmierzały kroki męskie. Poznała je. Ukryć się nie było sposobu.

Baronówna, wyprostowana, odważnie podeszła do drzwi. Otworzyła. Na wprost niej stał Waldemar. Zmierzyli się oczyma. Zawstydzona, spuściła powieki. Minęli się w milczeniu. Waldemar wszedł do sali. Lucja wpadła w ciemną głab korytarza. Gdy dobiegła już od przeciwnego wyjścia, cichutko, na palcach powróciła i lekko uchyliła drzwi od sali, oświetlone aksamitną kotarą.

Waldemar na portret zmarłej Steci patrzył z takim wyrazem w oczach, jak gdyby oddawał jej całą swą przyszłość lub składał przysięgę wierności. Lucja zatamowała jęk w piersiach i znikła bez szmeru w przestrzeni korytarza.

XLV

Ślub Lucji z Brochwiczem miał się odbyć w Paryżu w połowie stycznia. Księżna Podhorecka stała się jedyną opiekunką osamotnionej dziewczyny. Mieszkała z nią razem we Francji, gdyż Lucja po ostatniej rozmowie z ordynatem wyjechała natychmiast za granicę i nie chciała wracać do kraju.

Zbliżała się chwila stanowcza. Baronówna żyła jak w letargu. Rozpacz i obawa przed przyszłością zabiły w niej duszę. Chwilami budziła się z tego snu strasznego, budziła się dotknięciem rzeczywistości, która porwała ją w wir szalony niezgłębionych rozpadlin. Rosła w niej bezbrzeżna niechęć dla Brochwicza, i pogarda, i żal, i wstręt do siebie. Jerzego czyniła winnym, że chce ją mieć za żonę, siebie — że się na to zgadza, wreszcie Waldemara — że był demonem, rzucającym ją w bezden.

Miłość dla Waldemara, wszystkie walki i cierpienia zmalały wobec grozy przyszłości, idącej nieubłaganie, z demoniczną siłą.

Nic jej nie wstrzyma. Ohoje z Jerzym hrną na oślep, nad przepaść, nad krańcówkę niedoli, widzą ją niemal przed sobą, nędzną, uraglową, lecz kuszącą jak grzech. Ohoje zamknęli oczy, odrzucili precz od siebie wszelkie podszepty sumienia. Mocą stała się dla nich jakaś konieczność i rezygnacja. Co będzie — to będzie, hyle prędzej. Bez analizy, bez wstęgu, szli do swego celu, jak pijani. Gdyby siła nieznana a wielka otworzyła im oczy, wzywałiby ratunku. Taka siła mogłaby ich ocalić... lecz jej nie było.

Własny rozsądek i zastanowienie uspił narkotykiem uczuć osobistych, starzanych doszczętnie i boleśnie.

Lucja w chwilach przebudzenia zrywała pierścionek z palca, pisała do Jerzego listy, zwracając mu słowo, lecz potem — darła papier na strzępy i znowu poddawała się hezuciu letargicznemu. Teraz już tylko smutny obraz przyszłego życia rysował się w jej duszy; osnuty był paniczną obawą. Strach ogarniał ją coraz silniejszy, strach diawil, systematycznie fruł i ciągnął zarazem w toń.

Lucja przeistoczyła się w bryłę bezwolną i jakby zmiętą. Czasem, przeciwnie, hunt w niej powstawał, przegromny, krzyk protestu wydierał się z serca, które dobrowolnie okuwała w blachy zimne, nieszczęścia. Wówczas Brochwicz ginął, jak drobny liść zmiażdżony nawalnicą wichru. Ordynat zapadał się w ciemnię. Wszystko malało. Na serce zaś cierpiące spływał ciężki promyk przeczucia niesłychanego, nieuchwytej halucynacji ocalenia, i złagodzone tą pieczęcią serce uciszało się, jak po haszyszu.

W takich łagodnych jaśniach niby w błyskawicach wśród chmur, ukazywała się w zmęczonej wyobraźni Lucji postać Bohdana Michorowskiego. Jego oczy ciemne i twarz szczupła, nerwowa, jego uśmiech szery, dziwnie pociągający, napawał dziewczynę otuchą niezrozumiałą. Baronówna wzruszała się wspominając jego dobre chęci i dążenia w celu uratowania jej od uczuć nieodwzajemnionych lub też rzucenia w ramiona ordynata.

Wszystko zawiodło. Poczłwał niebezpieczny szlak, idący w głąb życia, albo pozbawienie się go przez samobójstwo.

Śmierć własna przedstawiła się baronównie bez właściwej grozy, lecz jakby symboliczna Marzanna.

Niech nadejdzie, niech się spełni. Myśli samobójstwa nawiedzała Lucję, lecz na krótko i niezbyt silnie. Bywała raczej wykwittem wybujałej fantazji i pewnego lubowania się własnym dramatem. Nie przychodziły te myśli hezjośrodnio, aby zniewolić ducha, lecz snuły się śladem wyobraźni zarazem przejaśkrawiając ją.

Umrzeć — nie było dla Lucji koniecznością duszy, odtworzoną jasno i wyraźnie, ale najwłaściwszym zakończeniem, do czego jednakże brakowało jej postanowienia.

Lucja na dnie swej jaśni pragnęła żyć, tylko obawiała się rozpocząć z życiem walkę i biernie poddała się prawom krańcowej apatii.

Pani Idalia Elzonowska, już jako narzeczona hrabiego Barskiego, przyjechała do Paryża, lecz przyjęcie, jakiego doznała od córki, zniechęciło ją do pozostania na jej ślubie.

Lucja nie chciała widzieć matki przy tej uroczystości. Z rodziny mieli być tylko księżna Podhorecka i hrabiastwo Trestkowie.

Baronówna oczekiwała jeszcze dziadka Macieja, ale on dla braku zdrowia nie obiecywał przyjazdu.

Księżna z pomocą hrabiny Rity, zajęła się wyprawą Lucji, ona sama do niczego nie chciała się bowiem wtrącać.

Do ślubu pozostało tylko kilka dni ostatnich.

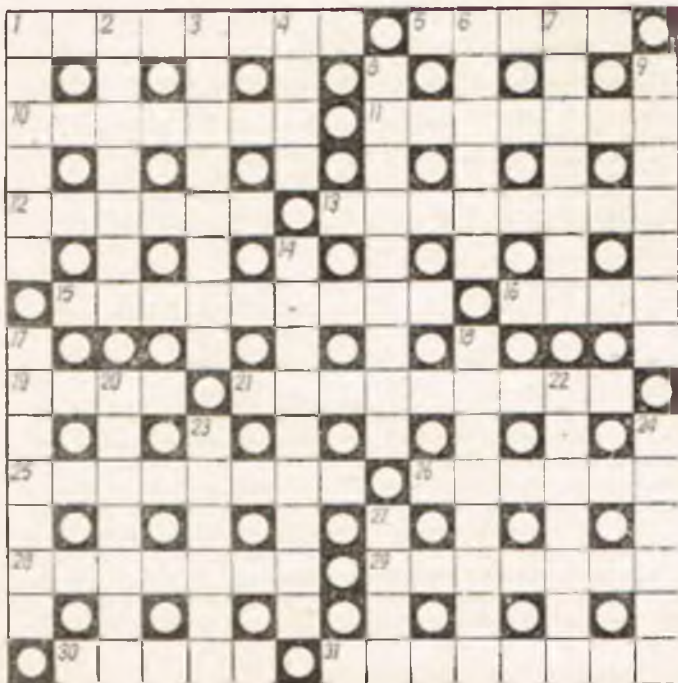
Lucja zachowywała się tak, jakby ją miano żywcem zamurować. Jej niepokój, jej lęk okrutny dosięgnął największego napięcia. Lucja była prawie niepoczynalną i trawioną przez gorączkę. Myślała o chwili ślubu, jak suchotnica o śmierci przewidzianej niemal co do godziny. Czuli, że ginie, i czuli, że od niej samej zależy ocalenie własne, ale śmiech nieludzki, jakiś śmiech targający nerwy wybuchł z jej piersi i tłumił akcję ratunkową. Przeraziłwie jasno widziała swój grób otwarty i zbliżała się doń z całą świadomością, ale zarazem z szarpaniną wewnętrzną, która pozornie wydawała się brakiem przytomności i lekceważeniem.

Gdy pewnego dnia Brochwicz ujrzał ją w podnieceniu niebywale drażliwym, zląkł się. Po raz pierwszy od czasu zaręczyn zadał sobie pytanie, co on robi.

Upiór nieszczęścia ukazał mu się groźny, szyderczy i bezlitosny. Jerzy ścierpił. Sumienie i etyka wzburzyły całą jego istotę, ale zamknął tej ciemnej pieczary złej przyszłości, usnął jej — nie miał sił. Grzazł i pociągał Lucję nieszczęsną, będącą jak w agonii.

(46)

cdn.



KRZYŻÓWKA nr 6

POZIOMO: 1) zbiór, 5) część nogi, 10) kontrabanda, 11) bor, świder, 12) przyrząd obserwacyjny, 13) pomysłowość, 15) szalawiła, postrzeleniec, 16) część „Chłopów”, 19) pierwsze pływające zoo, 21) winowajca, 25) artyleryjska strzelanina, 26) sąsiadka Holandii, 28) kwiat kojarzący się z Holandią, 29) członek wyższej izby parlamentarnej, 30) bój, 31) metalowe wzmocnienie obcasa.

PIONOWO: 1) orkiestra ludowa, 2) miasto nad Jez. Genewskim, 3) przyjacielskie stosunki, zażyłość, 4) surowiec na liny i worki, 6) nauczyciel zwierząt, 7) zbiorowa prośba na piśmie, 8) część mszy, 9) mieszkaniec domu, 14) zarządca gmachu instytucji, 17) jedno z większych miast Indii, 18) gazon, klomb, 20) niegodziwiec, 22) odwrotność pozytywu, 23) wiązka zboża, 24) z powinszowaniem imienin, 27) miasto VI olimpiady zimowej.

Rozwiązania prosimy nadsyłać w ciągu 10 dni od daty ukazania się numeru pod adresem redakcji z dopiskiem na kopercie lub pocztówce: „Krzyżówka nr 6”. Do rozlosowania:

nagrody książkowe

Rozwiązanie krzyżówki nr 2

POZIOMO: Zakopane, tango, wiatrak, arogant, Dziuba, stolnica, prelegent, fach, orka, korniszon, batalion, dekada, Janicki, oficyna, zakaz, szmaragd **PIONOWO:** zawada, klakier, parabola, Nike, Apollo, granica, partanina, Strachy, agronomia, kombajn, pszenica, Katarina, okaryna, plucha, najazd. kosz.

Za prawidłowe rozwiązanie krzyżówki nr 20 nagrody wylosowali: Andrzej Pepeda z Kalisza oraz Robert Remisiewicz z Wołomina.

Nagrody prześlemy pocztą.